

Nr 2 (153) – B Rok 26

Marzec-Kwiecień 2020



KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI NA UKRAINIE

Wołanie z Wołynia

Воляння з Волині

Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

Dwumiesięcznik **Wołanie z Wołynia** – *Воляння з Волині*
Pismo założone w 1994 roku. Założyciel i wydawca: Parafia Rzymskokatolicka
pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu na Wołyniu.

Redaktor naczelny: ks. Witold Józef Kowalów.

Redakcja: Irena Androszczuk, ks. Władysław Czajka, Irena Dejneka,
ks. Grzegorz Draus, Maria Kalas, Jarosław Kowalczyk, Ludmiła Poliszczuk,
ks. Waldemar Szlachta, Inna Szostak, ks. Andrzej Ścisłowicz.

Redakcja publikuje materiały nie zawsze podzielając poglądy ich autorów.

Zamieszczone w piśmie materiały mogą być przedrukowywane z podaniem źródła.

Adres redakcji:

✉ вул. Князів Острозьких, 4-а
35800 м. Остріг, Рівненська обл.

Україна

☎ & Fax + 380 (3654) 2-30-38

E-mail: vykovaliv@gmail.com

<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>

Świadectwo rejestracji: RW nr 187

z 15 maja 1997 r.

ISSN 1429-4109

Adres oddziału redakcji w Polsce:

✉ Ośrodek “Wołanie z Wołynia”,
skrytka pocztowa 9, 34-520 Poronin

Dobroczynców prosimy o wpłaty na konto:

Stowarzyszenie Ośrodek

“Wołanie z Wołynia”

PBS. ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC

nr 77 88210009 0010 0100 1892 0001

Dla wpłat z zagranicy należy dopisać:

S.W.I.F.T. code: POLUPLPR

~~~~~

**Jesteśmy w Facebook’u:**

«**Wołanie z Wołynia – Воляння з Волині**»

<http://www.facebook.com/Wolanie/>

«**Sursum corda**»

<http://www.facebook.com/Sursum-corda-254753281236024/>

## SPIS TREŚCI

- s. 3: Jacek Maria ORLIK, *Na Zmartwychwstanie*  
 s. 4: w.j.k., *Zmarł. O. Ludwik Grzebień SI*  
 s. 5-9: Danuta SIWIEC, *Sąsiadka Maryna*  
 s. 10: Jacek Maria ORLIK, *Modlitwa oracza*  
 s. 11-20: Regina SMOTER-GRZESZKIEWICZ, *Felek*  
 s. 21-22: Ks. Zygmunt CHMIELNICKI, *Epidemia tyfusu w 1919 roku*  
 s. 23-24: Joanna MANSFELD, *O bohaterach i grobach*  
 s. 25-30: Adam KACZYŃSKI, *Przesiedlenie ludności czeskiej z Wołynia do Czech (1944-1947)*  
 s. 31-35: Marek ŻUKOW-KARCZEWSKI, *Krajobrazy utracone, Sławuta – araby, lokomobile i kumys*  
 s. 36-45: Maria KALAS, *«A moje wiersze czymże są?» – Jacek Maria Orlik zapomniany poeta i prozaik Kostopolszczyzny*  
 s. 46-48: Czesław KURIATA, *Ludobójstwo zmanipulowane*  
 s. 49-53: Ryszard FRĄCZEK, *Meducha. Pod opieką Matki Bożej Różańcowej*  
 s. 54-55: Jacek Maria ORLIK, *Potężny warsztat pracy*  
 s. 56: Jacek Maria ORLIK, *Janowa Dolina*

Nasze czasopismo i książki z serii „Biblioteka «Wołania z Wołynia» można nabyć pisząc na adres:

**ks. Witold-Yosif Kovaliv**  
**Ośrodek „Wołanie z Wołynia”**  
 skr. poczt. 9, 34-520 Poronin, Polska  
 lub: **о. Вітольд-Йосиф Ковалів**  
**вул. Князів Острозьких, 4-а**  
**35800 м. Остріг, Рівненська обл.,**  
**Україна**  
**e-mail: vykovaliv@gmail.com**

Poprzednie numery „Wołania z Wołynia” z lat 2010-2019 w wersji elektronicznej dostępne są pod adresem:

[http://www.duszki.pl/wolanie\\_z\\_wolynia/](http://www.duszki.pl/wolanie_z_wolynia/)  
**Nie jesteśmy w stanie odpowiadać na wszystkie listy. Przepraszamy.**

**Redakcja „Wołania z Wołynia”**



Alleluja



## Jacek Maria ORLIK NA ZMARTWYCHWSTANIE

Nad potokami baze srebrne,  
gdzieś polną drogą błądzi jasna wiosna.  
Rozdzwonić świątyń wieżycy podniebne  
i rozgrzać ziemię radością nieb do cna.

Rozśpiewać pola skowrończym świerkaniem!..  
I głąz i skała próchnem w Bożym ręku!  
Jasne, zwycięskie Boga Zmartwychwstanie  
triumfem wzlata ponad ludzką męką.

Pieczeń jest niczym, gdy Pan zerwać każe  
z grobu męki, bólu, grzechów tego świata!  
Na wonne mirrą kościołów ołtarze  
wiosna dziś wieńce ze słońca uplata.

- - - -

Nad potokami kwitną baze srebrne,  
gdzieś polną ścieżką błądzi jasna wiosna.  
Rozkołysały się dzwony podniebnie:  
CHRYSZTUS Z SKALNEGO GROBU ZMARTWYCHPOWSTAŁ.

„Życie Katolickie” nr 15 z 9 kwietnia 1939, s. 228.

Odeszli - Відійшли

## ZMARŁ O. LUDWIK GRZEBIEŃ SI



Rankiem, 30 marca 2020 roku, w wieku 81 lat zmarł w Krakowie śp. o. Ludwik Grzebień, jezuita, historyk. Odszedł do Pana w 64. roku powołania zakonnego i 53. kapłaństwa.

Krótki biogram śp. Zmarłego przedstawiamy za stroną jezuit.pl:

Ludwik Grzebień wstąpił do Towarzystwa Jezusowego 8 sierpnia 1956 w Starej Wsi, święcenia kapłańskie przyjął 17 czerwca 1967 w Warszawie. Studiował filozofię na Wydziale Filozoficznym Towarzystwa Jezusowego w Krakowie (1961-1964), teologię na Wydziale Teologicznym „Bobolanum” w Warszawie (1964-1968) oraz historię w Instytucie Historii Kościoła KUL (1967-1970). W 1971 roku uzyskał stopień doktora historii Kościoła, w 1978 roku stopień doktora habilitowanego teologii w zakresie historii Kościoła, a w 1990 roku tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego. 27 IX 1999 roku otrzymał tytuł profesora zwyczajnego nauk teologicznych.

Pracował jako asystent przy katedrze nauk pomocniczych historii Kościoła KUL (1972-1973) i prowadził wykłady z zakresu historii Kościoła w ATK w Warszawie (1979-1982). Był dyrektorem Wydawnictwa Apostolstwa Modlitwy w

Krakowie (1981-1985). Od 1985 wykładał metodologię i metodykę pracy naukowej na Wydziale Filozoficznym Towarzystwa Jezusowego w Krakowie, gdzie w latach 1988-1994 pełnił urząd dziekana. W latach 2004-2010 był rektorem Wyższej Szkoły Filozoficzno-Pedagogicznej (obecnie Akademii) Ignatianum w Krakowie. Był pracownikiem naukowym Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie. Kierował Biblioteką Pisarzy Towarzystwa Jezusowego w Krakowie. 26 listopada 2014 otrzymał nagrodę Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego dla nauczycieli akademickich za całokształt dorobku, za osiągnięcia naukowe lub dydaktyczne oraz za osiągnięcia organizacyjne. Opublikował blisko 2 tys. tekstów naukowych i popularno-naukowych.

Pogrzeb śp. o. Ludwika Grzebienia SI odbył się w piątek 3 kwietnia 2020 roku.

Najpierw została odprawiona Msza św. żałobna (o godz. 11:30) w Bazylice Najświętszego Serca Pana Jezusa w Krakowie (przy ul. Kopernika 26), a po niej trumna została złożona w jezuickim grobowcu na Cmentarzu Rakowickim.

Śp. Ojciec Ludwik korespondował z nami („Wołanie z Wołynia”). Opublikował artykuł o bł. Janie Beyzymie SI na naszych łamach. W wydanej pod jego kierunkiem encyklopedii o dziejach jezuitów w Polsce są m.in. hasła nt. kolegium jezuitów w Ostrogu i innych placówek tego zakonu na terenie Wołynia.

Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci. Niech odpoczywa w pokoju.

w.j.k.





Rapisałi do nas - Написали до нас

## SĄSIADKA MARYNA

Dzieci Wołynia, to kompletne sieroty, które doznały strasznej traumy. Niektóre z nich były świadkami okrutnej śmierci swojej rodziny, ale cudem przeżyły. Matka często tuląc do siebie dziecko, po zadaniu jej ciosu padała pociągając je za sobą. Zdarzało się, że po jej uśmierceniu dziecko wydostawało się spod ciała często samo ranne, opuszczało miejsce rodzinne i szło w nieznaną. Te dzieci (kilkakrotnie) docierały nawet do dość odległych, od rodzinnego domu miejscowości.

Jest taki obrazek, jak nad dwojgiem małych dzieci, idących „sfatygowanym” mostkiem nad rzeczką, rozpościera skrzydła Anioł stróż. Może w tych przypadłościach było podobnie?

Te małe, samotne, bezradne, tulające się sieroty przeżywały koszmar strachu, co odbiło się na ich zdrowiu i psychice. Te straszliwe przeżycia odbierały im mowę czasowo lub na trwałe. Wiele dzieci zmarło przedwcześnie. Dzieci, które w dzieciństwie doznały traumy, nie pozbyły się jej nawet w dorosłym życiu. Niegdyś okrutnie okaleczone psychicznie dzieci, dziś dorośli po przeszło 70 latach budzą się w nocy z krzykiem, złani potem, wołają o ratunek.

Te Dzieci Wołynia to istoty, którym odebrano dzieciństwo, pozbawiono gniazda rodzinnego. Wiemy, że nic nie zastąpi dzieciom rodzinnego domu, nikt też im nie przywróci do życia kochającej się rodziny. A trauma pozostała i te sieroty przeżywają nadal koszmar wspomnień.

Uważam, że Dzieci wołyńskie to też te, które wprawdzie nie zostały sierotami, ale którym odebrano też dzieciństwo i pozbawiono rodzinnego domu. Ci co prze-



Danuta Siwiec

Fot. Miejska Biblioteka Publiczna  
w Sławnie

żyli ten koszmar pamiętają, jak po ucieczce z domu, wyrwani ze snu w samej tyłko bieliznie, często bez względu na porę roku chowali się w lesie, zaroślach, dołach, sadach, zbożach. Szczęśliwcami byli ci, których banderowcy nie zauważyli.

Mój kuzyn Jan Terlecki, urodzony na Wołyniu, we wsi blisko Młynowa opowiadał: „Mieszkaliśmy na skraju wsi, w pobliżu lasu. Naszą bliską sąsiadką była bardzo miła i życzliwa nam Maryna – Ukrainka. Moja mama nie mogła zrozumieć, dlaczego, do tej pory tak przyjazna nam kobieta, odmieniła względem nas swoje zachowanie. Ubliżała mamie, a nas dzieci, mnie i siostrę Paulinę stale przeganiała. Nie mogliśmy się bawić, ani nawet przechodzić obok jej domu.

Było upalne lato. Położyliśmy się spać. Nic nie zapowiadało zagrożenia. Nagle z głębokiego snu wyrwało nas, głośne stu-

kanie w okno i słowa: „Wtikajcie! Wtikajcie!” („Uciekajcie! Uciekajcie!”). Mama nie rozpoznała czyj to głos, ale dobrze znała sens przestrogi i dziękowała Bogu, że zesłał taką dobrą duszę. Szybko zerwała nas z pościeli i tak jak staliśmy, w nocnej bieliźnie, zostaliśmy przez mamę zepchnięci z okna do sadu. Sama też wyskoczyła oknem, a nam nakazała szybko uciekać. Miałem już 7 lat, a Paulinka była 2 lata młodsza. Trzymając siostrę za rączkę, przedzierałem się z nią przez rosnące obok naszego sadu zarośla. Oglądałem się za mamą, ale jej za nami nie było. Nagle usłyszeliśmy strzały. Ze strachu schowaliśmy się w rosnącym obok nas wysokim zbożu. Słyszeliśmy straszne krzyki, ryk bydła, wycie psów i widzieliśmy palącą się wieś, ale nasz dom nie płonął. Dopiero później dowiedziałem się, że banderowcy nie palili polskich domów, jeśli stały one obok ukraińskich zabudowań. Mamy nadal nie było. Zrozpaczeni, osamotnieni, owładnięci nieopisanym strachem nie mogliśmy usnąć, ale sen się wreszcie nad nami zlitował. Spaliśmy kamiennym snem.

Obudził mnie dotyk ręki i słowa: Jasiu! Jasiu! Bardzo się zląkłem. Otworzyłem oczy, a nade mną pochylała się mile uśmiechnięta nasza sąsiadka. Moje przerażenie było nie do opisania, gdy spojrzałem na jej fartuch i ręce. Były całe w krwi. Sąsiadka, nadal uśmiechając się, siłą zabrała nas do swojego domu. Umyła się, a potem umyła nas i kazała usiąść przy stole. Czekałem na najgorsze, a moje przerażenie dosięgło zenitu, gdy wzięła do ręki duży nóż. Ja, mały chłopiec, rozumiałem, że nam polskim dzieciom grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Przeżegnałem się i przytuliłem mocno do siebie siostrzyczkę. Pomyślałem: razem zginiemy i razem pojedziemy do nieba. Powiedziałem Paulince, aby zamknęła oczy. Sam też to zrobiłem.

Czekałem ciosu noża, ale to nie nastąpiło. Otworzyłem trochę oko i przez szparę widzę, a Maryna kroi tym nożem grube pajdy chleba. Na stole stało dla nas jedzenie i mleko w kubkach. Zachęceni do jedzenia nie mogliśmy niczego z wrażenia przełknąć. Gospodyni wkładała jedzenie do koszyka mówiła, że niedługo wróci. Najpierw jednak zamknęła nas w komorze i nakazała milczenie.

Zamkniętym w ciemnym, ciasnym pomieszczeniu przychodzą różne myśli do głowy. Przypomniały mi się dzieci z bajki, o Jasiu i Małgosi, które wpadły w szpony czarownicy. Częściowo zgadzało się z naszą sytuacją. Ja jestem Jasio, ale moja siostra to nie Małgosia, ale Paulinka, a czy Maryna to czarownica?

Kobieta wróciła. Uwolniła nas z pułapki i zamknęła kluczem drzwi. Następnie usiadła między nami i mocno nas do siebie przytulając mówiła: „*Nie bójcie się mnie. Nie zrobię wam krzywdy*”. Te słowa odniosły taki skutek, że zamiast radości wybuchaliśmy głośnym płaczem. Ona nadal trzymała nas w objęciach i cierpliwie czekała aż się uspokoiimy. Gdy to nastąpiło powiedziała: „*Przychodzą do mnie źli ludzie. Oni nie mogą dowiedzieć się o tym, że tu jesteście. Nie bójcie się niczego. Nie stanie się wam krzywda, jeżeli będziecie zachowywać się cicho. Dlatego musicie was zamykać w komorze. Będziecie słyszeć przez drzwi głosy, ale siedźcie cicho. O mamę też się nie martwcie. Na pewno was znajdzie*”. Te ostatnie słowa były dla nas jak balsam na bolące rany. Przytuliliśmy się do naszej opiekunki, a ona jeszcze mocniej nas do siebie przygarnęła. Dopiero teraz poczuliśmy głód. Po posiłku gospodyni przygotowała nam poślanie i zamknęła w schowku. Zasyrialiśmy szczęśliwi, że znajdzie nas mama.

Nie wiem jak długo spałem, ale obudziły mnie ukraińskie głosy dochodzą-

ce zza drzwi, a były to wrzaski, śpiewy, a najczęściej jakiś niezrozumiały bełkot. Paulinka też się przebudziła. Jakiś instykt samozachowawczy „nakazał” mi zakryć jej buzię ręką, gdyż bałem się, że może się odezwać. Przyszedł czas, że biesiadnicy opuścili wreszcie dom i zapanowała cisza.

Gdy znaleźliśmy się w kuchni, gospodyni miała dla nas zadanie. Musieliśmy się uczyć po ukraińsku pacierza i od tej pory mogliśmy rozmawiać tylko w tym języku. Nie było to takie straszne, bo ciągle mieliśmy przed oczami naszą mamę, która nas odnajduje. Maryna kilka razy dziennie opuszczała dom z koszykiem, czymś napełnionym, ale przedtem zamykała nas w komórce, gdyż wizyty banderowców były niespodziewane, przychodzili o każdej porze.

Jednego dnia, gdy nas wypuściła, dała mi zajęcie. Na stole leżało płócienne przescieradło, pod kuchnią paliło się, a gospodyni paliła zakrwawione szmaty. Moje zajęcie polegało na tym, że przytrzymywałem płótno z jednej strony, Maryna z drugiej, nacinała materiał nożycami, a następnie rwała go, co wyglądało jak bandaże. Potem rozesłała na stole koc i gorącym żelazkiem z tzw. duszą prasowała pocięte płótno. Gospodyni miała żelazka dwóch rodzajów. Do środka jednego z nich wsypywała szufelką rozżarzone węgielki, a do drugiego wkładała tzw. duszę. Był to kawałek żelaza nagrzwany w żarze kuchennym. Nie wiem, czy dobrze to zapamiętałam. Tak samo jak nie pamiętam ile czasu tu przebywaliśmy. Nauka ukraińskiego trwała bez przerwy. Zналиśmy już modlitwy, dobrze mówiliśmy po ukraińsku, a nawet śpiewaliśmy.

Od pewnego czasu Maryna szyła jakieś worki, dwa małe i jeden duży, a gdy przyszyła do nich długie paski, wyglądały jak pokraczne placki. Pewnego dnia, gdy

się ściemniało włożyła do wszystkich worków jedzenie. Ubrała nas i pomogła założyć te niby plecaki. Sama zaś z nami i dużym workiem poszła do stodoły. Było ciemno, niczego nie widzieliśmy i nagle usłyszeliśmy gdakanie kury. Nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu, bo to był głos gospodyni. Nagle do naszych uszu doleciał szelest słomy, a Maryna zapytała: „*Pamiętacie, jak wam mówiłam, że mama was znajdzie? I znalazła*”. Powitanie z mamą było dla nas wielkim przeżyciem i niewypowiedzianą radością.

Kobieta nagliła, aby czym prędzej opuścić stodołę. Prowadziła nas polem przez łąny zboża, potem lasem. Schowani w krzakach słyszeliśmy przechodzących niedaleko od nas banderowców, a gdy się oddalili kobieta prowadziła nas dalej, często przedzierając się przez gęste zarośla. Nie wiem, po jakim czasie dotarliśmy do skraju lasu. Kobieta wskazała nam wieś. Była to Pańska Dolina, w której znajdowała się Placówka Samoobrony. Maryna serdecznie pożegnała się z nami i mamą. Byliśmy uratowani.

Jeszcze przed wsią spotkaliśmy dwóch jej mieszkańców, dzielnych obrońców polskiej ludności. Mama spotkała tu swoją bliską rodzinę, która też cudem przeżyła. A jak to udało się naszej mamie?

Mama opowiadała: „*Biegłam za moimi dziećmi. Były już na ścieżce obok łąny zboża. Nagle, nie wiadomo skąd pojawił się banderowiec. Zobaczył mnie i zaczął biec w moją stronę. Aby odciągnąć go od moich dzieci pobiegłam w przeciwnym kierunku. Bandyta strzelił i zranił mnie w przedramię. Poczulałam niesamowity ból i ciepło krwi. Osłabłam. Nie wiedziałam gdzie się schować. Pomogła mi w tym sama natura. Od bandyty oddzielały mnie gęste zarośla. Skręciłam w bok i jedyne, co mogłam zrobić to ukryć się w zabudowaniach sąsiadki Maryny. Tak też zrobi-*



Zdjęcie wołyńskiej rodziny Danuty Siwiec wykonane w Równem

*Fot. Archiwum*

lam. Wpadłam do stajni i schowałam się za końskim kamiennym żłobem. Bandyta z pewnością stracił trop i mnie nie szukał. Natomiast znalazł mnie pies gospodyni, bardzo przyjazne mi stworzenie.

Radosne ujadanie psiaka sprowadziło ciekawską Marynę. Byłam przerażona, a ona pomogła mi wyjść z ukrycia, zabrała do domu, opatrzyła ranę i rzekła: «Nie bój się, u mnie jesteś bezpieczna». Następnie zaprowadziła mnie do stodoły i ukryła tak przemyślnie, że nikt by mnie nie znalazł. Ustaliła też ze mną hasło, że gdy będzie wchodzić do stodoły będzie gdać jak kura. Martwiłam się o dzieci, z czego zwierzyłam się sąsiadce. Powiedziała mi gdzie je widziałam ostatni raz. Maryna bardzo o mnie dbała. Zmieniała opatrunki, przynosiła jedzenie. Któregoś dnia przyszła radosna i z radosną dla mnie nowiną, odnalazła moje dzieci. Okazało się,

że było to też tego samego dnia, w którym mnie uratowała. Plakatyśmy obie ze szczęścia. Radziła mi, że dla naszego bezpieczeństwa nie powinnam jeszcze spotkać się z dziećmi. Rzekła: «Spotkasz się z dziećmi, jak wydobrzejesz. Ta radość, że żyją i są zdrowe, doda Ci siłę, będzie ci pomocna w gojeniu się rany». Miała rację. Rana szybko goiła się».

Analizując zachowanie Ukrainki, można wyciągnąć różne wnioski:

– uratowała dzieci i ich matkę, bo jeszcze tliło się w niej jakieś uczucie i odezwało się w niej ludzkie sumienie?

– a może ona tylko udawała taką wrogość, aby ratować Polaków?

Janek stwierdził, że mama była pewna, że przed napadem ostrzegła nas sąsiadka, stukając w okno i nakazując ucieczkę. „Do końca życia mama pamiętała w modlitwie o szlachetnej Ukraince i była



jej bardzo wdzięczna tak jak i ja z Paulinką za uratowanie nam życia” – zakończył swoją opowieść Jan.

Inni sprawiedliwi Ukraińcy, wbrew szalejącemu bestialstwu, też ratowali Polaków, narażając własne życie, o czym dowiadujemy się z książki Julii Wieliczko-Szarkowej pt. „*Wołyń we krwi*”.

- ostrzeżenie przed napadem
- ukrycie zagrożonych
- odwiezienie w bezpieczne miejsce do miasta
- pierwsza pomoc rannym
- przewiezienie do lekarza lub szpitala
- opieka nad sierotami lub zgubionymi dziećmi po napadzie
- wskazanie drogi bezpiecznej ucieczki

– zaopatrywanie ocalałych w żywność, a dla ułatwienia ucieczki – w ukraińskie ubranie

- niewykonanie rozkazu zabicia swoich polskich współmałżonków i wspólna ucieczka do miasta
- ukrywanie Polaków skazanych na śmierć

- darowanie życia ofiarom
- upozorowanie egzekucji. Umyślne przeoczenie osoby lub kryjówek

Już za jedno z tych przewinień groziła sprawiedliwym Ukraińcom śmierć, a Ukrainka Maryna naraziła się banderowcom kilkakrotnie, bo:

- uprzedziła o grożącym niebezpieczeństwie
- odnalazła polskie dzieci i przechowywała je w swoim domu
- udzieliła rannej Polce pomocy i opiekowała się nią.

„*Każdy człowiek, który w jakikolwiek sposób przyczynił się do uratowania życia innemu człowiekowi, zasługuje na uznanie i odznaczenie. Szczególnie wówczas, gdy wiedział, że swoim postępowaniem naraża życie własne i swoich bliskich. Mi-*

*nęło wiele lat od tragicznych wydarzeń II Wojny Światowej. W ludzkiej pamięci pozostał nie tylko strach, ból i rozpacz, ale również obowiązek wdzięczności dla tych, którzy ratowali i pomogli przetrwać. Za to należy im się uznanie i szacunek oraz odznaczenie nawet pośmiertne”.*

Przytoczone słowa, to cytat z artykułu pt. „*Wniosek o ustanowienie odznaczenia*” „*Order Sumienia*” – „*Wołanie z Wołynia*” – Maj-Czerwiec 2012 r. Nie mogę wręczyć tym szlachetnym ludziom takiego odznaczenia, ale niech zastąpi to skromny wiersz dla tych, Ukraińców, którzy uratowali moją rodzinę i inne przed okrutną śmiercią.

#### POKŁON

Kłaniam Ci się  
do samych stóp  
moja Ziemia ukochana,  
we krwi męczeńskiej  
tak szeroko skąpana.  
Drzewom się kłaniam  
świadkom niemym  
i miejscom niezliczonym,  
gdzie już nie pozostał  
nawet na kamieniu kamień.  
Lasom się kłaniam  
i bezkresnym polom  
skrywającym szczątki  
nieobliczalnej ludzkiej niedoli.  
I Wam pokłon oddaję  
nasi ukraińscy sąsiedzi,  
narażając własne życie  
ratowaliście Polaków  
przed okrucieństwami  
zwyrodniałej gawiedzi.  
Chwała Wam za to,  
chwała wielka,  
że ratowaliście bliźniego  
dla Was zawsze człowieka!

*Danuta Siwiec*

Poezja - Поезія

## Jacek Maria ORLIK

### MODLITWA ORACZA

O Panie! Znojem mych godzin wrzyna się pług w ziemię,  
W tę ziemię, w której znak Twej Mocy drzemie.  
Co jasno-zielonym łanem się rozkwita  
W zagon pod wiatrem falujący żyta.

O Panie! Tyś Mocny! Mocniejszy ode mnie,  
Choć cichy jak łany te moje... bezdennie...  
A wonnyś, jak latem w rozkwicie rumianki,  
A jasny, jak słońce w lipcowe poranki.

O Panie! Gdy sieję, myślę se w zadumie,  
Że kiedyś dla Ciebie będą łany szumieć!  
Że potem w przedwieczór przy razowym chlebie  
Będą me wargi cicho wielbić Ciebie...

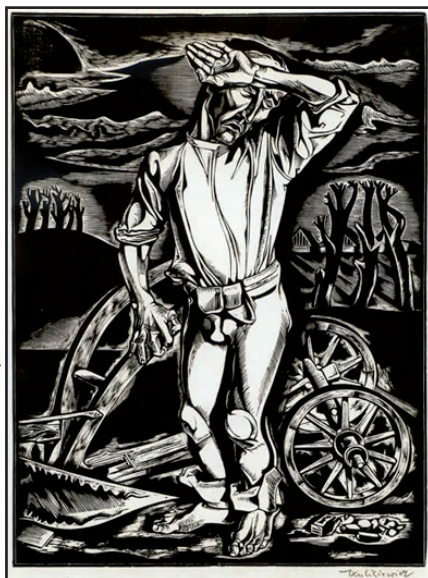
...Żeś mi słonkiem suszył pot na czole,  
Gdym pługiem orał moje płonę pole.

...I żeś błogosławił pługowi i ręką,  
Że posiać mogły tam zboża z udręką.  
I żeś mnie widział, kiedym rzucał ziarno  
W mą rolę niedobrą, jałową i skalną...

– O Panie! Dzięki Ci za ten strzęp ugora,  
Że mam co w znoju, w pocie czoła orać.  
Dzięki Ci, Panie, za tę płoną ziemię,  
Tę ziemię, w której Moc Twa Wielka drzemie.

Źródło:

„Żołnierz Polski” nr 7 z 1 marca 1937 r.,  
s. 157.



Oracz

– drzeworyt Tadeusz Kulisiewiczza

Ryc. Archiwum



## Literatura - Airepatypa

## FELEK

Długo patrzył Jan za odjeżdżającym pociągiem ze stacji Biały Słup, na którą przywiózł swoim Kasztankiem chłopaków. Z okien pociągu wystawały ręce machających na pożegnanie żołnierzy, a wśród nich także Antka i Feliksa. Jan otarł łzę wierzchem rękawa. Podszedł w stronę przeżuwającego obrok Kasztanka.

– No, stary druhu, wracamy do domu. Nic tu po nas. Koń podniósł łeb znad obrocznika jakby rozumiał, co mówi do niego gospodarz, parsknął przy tym dając znak, że owszem można wracać. Jan nie wiedział jeszcze wtedy, że już za kilka dni 18 września 1939 roku w tych okolicach rozegra się krwawa bitwa polskich żołnierzy z Niemcami [1].

Pociąg pędził dalej i dalej. Na kolejnych stacjach ubywało żołnierzy, którzy jechali w miejsce mobilizacji. Pożegnali się w Kowlu [2]. Tutaj stacjonowała jednostka Feliksa, Antek pojechał dalej aż do Równego [3].

Bracia zameldowali się w swoich jednostkach, Felek wcześniej, bo do Kowla było nieco bliżej. W koszarach pośpiech, wydawanie broni, umundurowania, prowiantu...

– Co tu się dzieje, Felek złapał za rękę żołnierza, który biegł od strony magazynów do części mieszkalnej, gdzie byli zakwaterowani.

– Jak to, nie wiesz, on na to.

– Przed chwilą przyszedłem z dworca, byłem na przepustce w domu.

– Jutro maszerujemy na front, a co dalej – nie wiem. Biegnij po swój przydział.

Felkowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Nagle usłyszał za plecami znajomy głos nadchodzącego dowódcy plu-



**Droga do Równego w czasie wojny**

*Fot. Pinterest.com*

tonu. Wyprężył się na baczność salutując, tak, jak ich uczono podczas musztry.

– Spocznijcie Smoter, dowódca plutonu podszedł do Felka podając mu dłoń na powitanie.

– Panie kapitanie, o co tutaj chodzi?

– Jutro wyruszamy na front. Zjedzcie obiad, a potem do magazynu po swój przydział. To tyle na teraz, chyba nie muszę tłumaczyć dalej.

– Tak jest! Felek stuknął przepisowo obcasami.

– A jak tam nastroje na wsi, zagadnął na odchodnym kapitan.

– Nieciekawe, Felek na to, ogólne poruszenie, stan niepewności.

W odpowiedzi padło przeciągłe taak...

\*\*\*

Pierwsza potyczka z niewielkim oddziałem niemieckim zakończona sukcesem dodała żołnierzom odwagi. Potem było coraz gorzej i gorzej. Zaczęło brakować żywności, amunicji, wyczerpane ciągłym wysiłkiem kasztanki, bułanki, gnia-

dosze smutnie zwieszają łby – Felek był przekonany, że w ich mądrych końskich oczach widział łzy!

A potem nastąpiło to, co najgorsze, może nie do końca, bo zgarniętych do niewoli żołnierzy z plutonu Felka pozostawiono przy życiu. Licho wzięło resztki amunicji, broni. Ból ścisnął serce, gdy drab w niemieckim mundurze, rudawy, wysoki podchodził do ustawionych w szeregu żołnierzy i bezczelnie zrywał swoimi łapskami dystynkcje, ścigał z głów żołnierskich rogatywki, a z rogatywek tę dumę państwową – orła białego obrywał. Felek, najniższy ze wszystkich stał na końcu szeregu i bijącym mocno sercem prosił Boga: Panie Boże, pomóż mi milczeć, pomóż znieść w pokorze, to, co za chwilę mnie spotka ja chcę przeżyć. Chcę wrócić do matki...!

Niemiec zmierzył Felka od stóp do głowy pogardliwym spojrzeniem, ponieważ Feliks był szeregowcem jego pagony zostawił w spokoju, zerwał tylko zamaszystym ruchem rogatywkę z głowy i po chwili odrywając z nienawiścią przytoczanego do niej orzełka, z całych sił, aż po same uszy wcisnął ją z powrotem na jego głowę. Pamiętaj, zabrzmiały w uszach Felka słowa ojca, którym żegnał syna odchodzącego do wojska – „*pamiętaj, że jesteś Polakiem i pozostań nim na zawsze cokolwiek by cię w życiu nie spotkało. Pamiętaj, że jesteś Polakiem...*”.

Po zakończonym przeglądzie na rozkaz Niemca kilku żołnierzy pozbiierało oderwane dystynkcje, orzełki, wszystko na jedną kupę, łącznie z dystynkcjami dowódcy, który stał jakiś zamyślony z odkrytą głową, nieobecny.

Gdy tak stali niepewni co z nimi będzie, dał się słyszeć warkot silnika i po chwili w tumanach kurzu ukazał się nadjeżdżający samochód, z którego wysiadł wojskowy Niemiec i dwóch cywili. wkrótce okazało się, że jeden z cywili, ten

porządnie ubrany to właściciel majątku w Królewcu, drugi był tłumaczem, wojskowy – komendantem niemieckiego posterunku w Królewcu.

Pierwsze pytanie: kto umie pracować na roli? Większość żołnierzy pochodziła ze wsi, więc prawie wszyscy wystąpili z szeregu. Pytanie drugie: kto umie zajmować się końmi? Oczywiście wszystkich zwróciły się w stronę Felka. Wystąpił. Stał na baczność przed tymi Niemcami (jakże w tej chwili przez niego znieawidzonymi) patrząc z odwagą z wysokości swego niewielkiego wzrostu, może z odrobiną dumy gdzieś na dnie serca ukrytej w ich pozbawione wyrazu twarze.

– Nazwisko, stopień?

– Szeregowy Smoter.

– Niemiec?

– Nie, Polak!

To Polak zabrzmiało jak wyrzucony znieacka pocisk, który leci gdzieś w dal i nie wiadomo w co uderzy.

– Komm.

Jeden z Niemców otworzył drzwi samochodu. Felek starał się zrozumieć o co chodzi.

– Tłumacz widząc niepewność w jego oczach wyjaśnił:

– Jedziesz do majątku tego pana, będziesz zajmować się jego końmi i gospodarstwem.

Felek pomimo trudnej sytuacji w jakiej się znalazł skinął głową uśmiechając się lekko, a w duchu dziękował Bogu że tak skończyło się dla niego spotkanie z wrogiem.

\*\*\*

Droga do Królewca biegła przez las, Felek podziwiał stare, potężne drzewa, w pamięci przesuwaly mu się obrazy z czarnostockiego lasu, wyprawy na grzyby, grabienie ściółki późnym latem, z której robili zagatę ocieplając dom na zimę. Westchnął ciężko. Kiedy wrócić do domu?

Co mnie tutaj czeka. Co się stało z Antkiem? Z rozmyślań wyrwał go głos tłumacza:

– Jak masz na imię?

– Feliks, odpowiedział szybko patrząc w oczy siedzącego obok mężczyzny.

– Feliks, tamten na to, to oznacza szczęśliwy.

– W tej chwili nie jestem szczęśliwy. Dokąd mnie wieziecie?

– Pan Albert, tłumacz wskazał na siedzącego obok kierowcy Niemca ma spory majątek i kilka koni, będziesz się nimi zajmował.

– Czy podołam temu wszystkiemu?

– Jesteś ze wsi, to dasz radę, a po drugie jesteś w niewoli więc nie pytaj, tylko rób co ci każą!

– Tak jest, odparł Felek po wojskowemu. Rozumiem!

– Jak się nazywa twoja wieś – tłumacz kontynuował rozmowę.

– To daleko stąd, na Zamojszczyźnie, nazywa się Czarnystok, ja służyłem w wojsku w Kowlu.

– O wojsku nie wspominaj!, tłumacz na to. Już nie ma polskiego wojska. Teraz Polacy będą słuchać Niemców, a Niemcy będą rządzić waszym krajem!

Felek zamilkł na te słowa wpatrując się znowu w mijane drzewa. Po dłuższym czasie wjechali na szeroką drogę i pojechali dalej w stronę widniejącego na horyzoncie miasta.

Tuż przy wjeździe do Królewca zatrzymali ich żołnierze niemieccy strzegący porządku. Krótka rozmowa z kierowcą i właścicielem majątku i... pojechali dalej, nawet dokumentów nie sprawdzali – dziwił się w duchu Felek.

Późnym popołudniem przyjechali na miejsce. Okazały dom z czerwonej cegły, solidnie wyglądające zabudowania gospodarcze. Gdy samochód zatrzymał się na podwórko z oddzielnym stojącego

niskiego budynku wybiegło dwóch mężczyzn i kilka kobiet. Stanęli w szeregu oczekując aż gospodarza wysiądzie z auta.

– To nowy robotnik, zwrócił się tłumacz do stojących w oczekiwaniu. Macie mu dać jeść, znaleźć miejsce w domu, kąt do spania i wytłumaczyć co należy do jego obowiązków, a potem niech się zabiera do roboty. Trzeba wyczyścić stajnię, przyprowadzić konie z pastwiska, napoić.

Przed szereg wystąpił wysoki chłopak, na oko wiekiem zbliżony do Feliksa, wiadać że żołnierz bo stanął w postawie zasadniczej i zameldował krotko:

– Tak jest! Chciał zaszalutować, ale szybko zorientował się, że nie ma munduru ani czapki, więc z rezygnacją opuścił rękę. Na ten widok Albert uśmiechnął się z politowaniem, po czym w towarzystwie tłumacza i Niemca kierowcy udał się w stronę domu.

– Chodź, chłopak zwrócił się do Felka. Jestem Broniek, to Adam wskazał na kolegę. Hanka – dodała jedna z kobiet podchodząc do nich, Maria – odezwała się druga, a ja Zośka krzyknęła trzecia idąc w stronę domu.

– Jestem Felek. Rozbili nasz oddział pod Łomżą, szliśmy w kierunku na Białyłystok, potem chcieliśmy dotrzeć do Lublina, żeby było bliżej domu, ale diabli wszystko wzięli, z rezygnacją machnął ręką.

– Daj spokój, Adam na to. Najważniejsze, że żyjesz, reszta się jakoś ułoży. Musimy tutaj pracować, to przeżyjemy, może nas nie zabiją. Da Bóg, że wkrótce zakończy się ta przekłeta wojna...

Dla Felka znalazła się jakaś prycza, miał swój kątek. Zdjął wybrudzony mundur, koszula cuchnęła od potu.

– Gdzie tu się można umyć? zapytał stojącego obok Bronka.

– Poczekaj przyniosę ci jakąś koszulę i spodnie, swoje rzeczy musisz uprać, nasz

gospodarz nie cierpi brudu i nieporządku. Wyszedł. Tymczasem kobiety zaprosiły Felka do kuchni. Usiadł przy szerokim stole. Maria postawiła przed nim kartofle polane tłuszczem, pojawiły się nawet skwarki i blaszany kubek zsiadłego mleka.

– Takie przysmaki to jadłem jeszcze w domu.

– A skąd jesteś?

Jedząc powoli odpowiadał na zadawane pytania. Opowiadał o swojej rodzinie, ukochanej wiosce. Opowiedział jak go ojciec żegnał, kiedy wyruszał do wojska, i na pożegnanie powiedział mu tak: „*pamiętaj, że jesteś Polakiem i cokolwiek by cię w życiu nie spotkało pozostań nim na zawsze*”. Na te słowa wszedł Broniek. Stał obok mówiącego Felka, w oczach zakreśliły mu się łzy.

– Masz wspaniałego ojca!

Obydwaj żołnierze, teraz niemieccy parobcy popatrzeli na siebie uważnie. W niewielkim pomieszczeniu, wśród przypadkowo zgromadzonych osób zapadła cisza. Jedna z kobiet otarła sobie łzy fartuchem...

Felek ubrany po cywilnemu, (mundur i spodnie za radą Bronka namoczył w letniej wodzie z mydlinami, aby potem wypłukać) gotów był do pracy. Na nogi wciśnął żołnierskie buty z cholewami jakie mu zostały, podwinął rękawy koszuli.

– No, zażartował Adam, wyglądasz jak prawdziwy parobek.

\*\*\*

Upływały godziny, tygodnie i miesiące. W miejsce słonecznych dni pojawiły się szare, mgliste, przycichły ptaki. Jesień powoli ustępowała miejsca nadchodzącej zimie. Jeszcze trochę, a spadnie śnieg rozmyślał Felek. Otulił wszystko cichutko leżącym białym puchem. Potem będą Święta. Już drugie bez rodzinnego ciepła. Po raz kolejny nie przełamie się z matką

opłatkiem, nie zaśpiewa z kochaną siostrą Mańką (pewnie już trochę podrosła) ich ulubionej kolędy: „*Bóg się rodzi...*”.

Powoli przyzwyczajał się do nowego otoczenia. Pracował uczciwie, starannie doglądał powierzonych mu koni, szczególnie jeden zwrócił jego uwagę. Nie wysoki w kłębie o trudnej do określenia barwie skóry z dużym łbem. Miał do niego słabość. Najwięcej go głaskał po miękkich czarnych chrapach, częstował skradzionymi z worka stojącego w komórce kawałeczkami cukru, a także nadał mu imię: Bułan, Bułanek, mówił pieszczotliwie gdy nie było nikogo w pobliżu. Jak już będzie w domu, jeśli będzie – rozmyślał w długie jesienne wieczory po zrobieniu obżędku i po wspólnie z pozostałymi spożytej kolacji – jak już będzie w domu to także będzie miał takiego Bułanka. Ojciec mają Kasztanka – mój koń będzie się nazywał Bułan...

Na wspomnienie ojca coś ścisnęło go w gardle. Czy jeszcze zobaczę pocziwego staruszka? Z tych rozmyślań wyrwał go głos Adama.

– Felek śpisz?

– Nie, a bo co?

– Słuchaj, Adam na to. Wczoraj tłumacz rozmawiał z Albertem, chyba nam pozwolą napisać na Święta listy do domu.

– Mówisz? Felek zerwał się ze swego posłania. Naprawdę?

– Spokojnie, odezwał się Adam. Nie możemy wszystkiego pisać, bo by nam nie wysłali listów, a jak byś napisał coś nie tak – kula w łeb. Niemcy na razie zwyciężają, nie widać końca wojny. Jesteśmy potrzebni by na nich pracować. Wszyscy młodzi Niemcy poszli na front. Syn Alberta też, więc musimy dbać o swoje bezpieczeństwo. Rozumiesz?

– Felek nie odpowiedział. Myślał jak napisze o wszystkim co tutaj, jak trafił do niewoli i nie zapomniał o ojcowskim po-

żegnaniu, a tu tylko kilka słów napisać może. Ogarnął go żal, wielki żal, ale cóż mógł biedny zrobić. Niemiecki parobek... Przekleńci Niemcy! Gdyby tak mógł ratować się ucieczką, ale dokąd uciekać? Nie zna terenu ani mieszkających tutaj ludzi, a kto wie czy Niemcy za to, że uciekł nie aresztowali by ojca, matki, czy całej rodziny? Nie raz zwierzał się Bronkowi ze swych planów, a Bronek pochodzący z inteligentniejszej rodziny, jego ojciec był dyrektorem gimnazjum tłumaczył cierpliwie:

– Felek, nie ryzykuj. Złapią cię Niemcy, rozstrzelają. Masz rodzinę, musisz wytrzymać, przecież masz do kogo wracać.

– Taak, odpowiadał. Nawet nie wiesz jak za nimi tęsknię.

– To jeszcze coś wam powiem, wtrącił Bronek (pochodził ze Śląska, wiec z grubsza rozumiał niemiecki). Podstuchiłem jak Albert rozmawiał z tłumaczem. Chce na Święta gościć w majątku Niemców z garnizonu w Królewcu. Planuje kulig.

– Co takiego? Felek nie znał słowa kulig.

– To przejażdżka saniami przez las.

– A my musimy te sanie i konie przygotować, żeby wypadło jak najlepiej, odpowiedział Felek.

– Widzisz, zrozumiałeś, a teraz śpijmy już. Jutro czeka nas dużo roboty.

Słowa Bronka spełniły się co do joty. Ledwie rano zdążyli się umyć, ubrać i zasiaść do stołu na śniadanie gdy drzwi ich pomieszczenia otworzyły się na oścież. Zobaczyli niezwykle podnieconego tłumacza, wyglądał jakby sobie strzelił kielicha na rozgrzewkę.

– Chłopaki, szykować sanie, wyczyścić konie, jutro tu będzie dużo gości. Kobiety wyszorować ręce i do kuchni, pomożecie przygotować wieczerzę.

Rozkaz, to rozkaz. Pospiesznie dołożyli śniadanie, dziewczyny nawet nie miały czasu by pozmywać naczynia. Trzeba było biec do domu gospodarza.

Adam z Bronkiem udał się do budynku, gdzie przechowywane były wozy, sanie, siodła na konie, różny sprzęt gospodarski. Felek pomaszerował jak co dzień do stajni. Przywitało go zgodne rzenie jego podopiecznych. Swoim zwyczajem zaczął obchód od „Szefa”, jak go w myślach nazywał. Był to piękny, czarny koń. Pielęgnowana przez Felka skóra lśniła i połyskiwała na nim, zresztą tak samo jak i na pozostałych, ale w charakterze zwierzęcia wyczuwało się jakieś przywódcze cechy, więc został Szefem. Stojący obok niego kasztanek troszkę przypominał tego z Czarnegostoku, ale pańska duma rozdymała mu nozdrza, w końcu był gospodarskim koniem pana Alberta, którego syn Ernest służył w słynnej dywizji Fredricha von Paulusa.

Albert był bardzo dumny z tego powodu, cieszył się też wielką estymą wśród stacjonujących w Królewcu Niemców. Ta duma i to poważanie przysło wiowa bańka mydlana, gdy Ernest zginął w wielkiej bitwie nad Wołgą, ale to będzie potem. Teraz Herr Albert jest zajęty przygotowaniem na przyjęcie gości. Dobiega końca 1940 rok, zbliżają się Święta Bożego Narodzenia. Co tam Boże Narodzenie, Niemcy mają swojego „boga” w osobie Adolfa Hitlera, który rozpoczął zwycięski marsz po podbój Europy. Trzeba uczcić ten chwalebny dla niemieckich „bohaterów” rok. Rok pełen zwycięstw dla Niemców. Polska już w ich rękach, wcześniej zajęli Czechosłowację, Francja nie ruszyła do walki mimo wypowiedzianej Niem-





com wojny. Niemieckie okręty królują na Atlantyku, jak tak dalej pójdzie, będziemy panami świata myślał w swojej dumie Albert. Trzeba to uczcić. Będzie ku temu okazja, będzie dobre losowanie (co tam głodujący w gettach i obozach), pojawią się dobre trunki na stole...

Albert miał także prywatny powód do radości i zadowolenia. Przywiezieni do jego majątku Polacy sprawowali się bez zarzutu. Krowy były codziennie wydojone, nakarmione, w oborze czysto. Obornik wyrzucony, na podwórku porządek. W stajni – stajnia oczko w głowie gospodarka utrzymana była w należytym porządku – tutaj rządził Feliks.

Herr Albert zwracał szczególną uwagę na tego chłopaka. Niewielkiego wzrostu, zdyscyplinowany, a przede wszystkim znający się na swojej robocie budził zaufanie. Pod jego czujnym wzrokiem konie piękniały z dnia na dzień, a także jak zdążył Albert zauważyć lubiły go wszystkie. Widać to było po ich zachowaniu. Wracały z pastwiska maszerując jeden za drugim za jadącym na przedzie na oklep Feliksie, oczywiście na ulubionym Bułanku. Musztruje je na pastwisku – zastanawiał się Albert. Postanowił podpatrzeć go przy pracy. Gdy zauważył z okna swego pokoju, że Felek maszeruje do stajni postanowił popatrzeć jak mu idzie robota. Niezauważony stanął cichutko w najślabiej oświetlonym kącie stajni.

Na widok wchodzącego Feliksa wszystkie konie zarżały radośnie. Chcąc odwzajemnić to powitanie podchodził do każdego poklepując go delikatnie po chrapach, a potem podsuwał na otwartej dłoni wyciągnięty z kieszeni kawałek cukru. Na ten widok Alberta zatkało. Myślał, że to robotnicy podkradają mu ze stojących w komórce worków cukier, a to Felek bierze dla koni. Pierwszy odruch – podejść do tego zuchwałego Polaka i uderzyć go

w twarz, ale powoli przyszło opamiętanie. Przecież on bierze nie dla siebie, podkarmia i rozpieszcza moje konie, dlatego są takie zadbane, swobodne i zadowolone. No, no...

Albert od wczesnych lat wychowany był w dobrobycie. Jego już nieżyjący ojciec nie żałował pieniędzy na potrzeby dorastającego syna, inwestował w majątek, który zdążył przekazać Albertowi przed śmiercią. Albert także dbał o wychowanie swego jedynaka – teraz dumy całej rodziny i ...narodu. A niech tam, machnął ręką. Niech bierze ten cukier, przecież to moje konie!

– Dzień dobry Feliksie, odezwał się wychodząc po cichu z ukrycia.

– Dzień dobry Herr Albert. Felek akurat trzymał w ręku szcztokę do czesania, zamierzał rozpocząć od Szeffa, a skończyć na „swoim” Bułanku. Albert machnął przyzwalająco ręką. Felek zrozumiał, że ma zająć się pracą i nie zwracać na niego uwagi. Początkowo zaświtała mu myśl, co może chcieć od niego Albert o tak wczesnej porze, albo czego szuka w stajni, ale widząc że ten wyszedł zabrał się solidnie do pracy.

Powoli mijał grudniowy, ośnieżony, mroźny dzień. Gdzieś tam daleko na wojennych frontach toczyła się zażarta walka o to, kto będzie „władcą” powojennej Europy. W obozach koncentracyjnych, w gettach, na ulicach ginęli ludzie, płonęły budynki, gasło ludzkie życie jak zdmuchnięta nagle świeczka. Tutaj na obrzeżach Królewca, miasta gdzie jeszcze rządzili Niemcy (już niebawem przepędzą ich stąd Rosjanie) panował na pozór spokój. Na pozór, w każdej chwili mogło się coś wydarzyć, mogły nadejść zarządzenia by usunąć polskich robotników z majątku, a wtedy? Felek, Adam, Bronek, żołnierze Wojska Polskiego byli świadomi co może ich spotkać ze strony Niemców, dla-



tego każdy dzień przyjmowali z wdzięcznością, dziękując Bogu, że żyją. Kobiety pochodzące z okolicznych wsi świadomie zgłosiły się do pracy by uniknąć wywózki na roboty do III Rzeszy raczej były spokojne.

Wigilia, wigilia 1940 roku, daleko od domu, w obcym miejscu, Felkowi zrobiło się bardzo smutno na duszy. Od rana zajęty końmi myślał o rodzinnym domu, choince, której nie przyniesie z lasu ku radości Mańki i pozostałych sióstr. Przed oczyma miał sylwetkę matki krzątającej się przy kuchni.

Broniek i Adam przygotowali sanie na jutrzejszy kulig. Kobiety zrobiły, to co im kazano w kuchni gospodarza. Nadszedł czas by pomyśleć o ich, „niewolniczej” wigilii. Zośka w tajemnicy przed Albertem zdobyła w sobie tylko wiadomy sposób kawałekce opłatka. Ile kosztowało ją to strachu – lepiej nie mówić.

Wreszcie zmierzch, zimowy, cichy. Feliks wyszedł przed dom uważnie spoglądając w niebo. Nareszcie jest! Dostrzegł pierwsza gwiazdkę.

– Jest! krzyknął wpadając do domu. Jest pierwsza gwiazdka, możemy zaczynać.

Kobiety już ustawiały na stole miski z kapustą (nawet oleju nie było na omastę), kroiły cienko przydzielony chleb. Była czarna kawa bez cukru i jeszcze trochę gryczanej kaszy ugotowanej na sypko. Najważniejsze, że był opłatek! Zośka z dumą wyjęła ukrywany dotąd za portretem Führera (by Albert nie znalazł) bezcenny kawałek. Wzięła w dłoń pokazując wszystkim. W odpowiedzi padło głośne: Zośka!!!

Życzenie, jakie sobie złożyło w ten wigilijny wieczór tych kilka osób było tylko jedno: aby jak najszybciej skończyła się wojna, a oni mogli szczęśliwie powrócić do swoich domów. Szczere życzenie, ser-

deczne życzenie, ale..., ale świąteczny, chociaż smutny nastrój przerwało głośne łomotanie do drzwi... Felek był najbliższy. Otworzył. Zobaczyli Alberta, który z bronią gotową do strzału wszedł chwiejnym krokiem do pomieszczenia. Zamarli w bezruchu. Nie było czasu na żadne przemyślenia, a Felek, ten niewielkiego wzrostu Felek, ale wielkiego ducha wyrwał karabin z ręki Niemca zabezpieczając po drodze i.. w nogi na podwórko. Świadomy był tego, że w tej chwili Albert szaleje w domu, nie miał czasu na rozmyślenia. Ukrył się szybko w stojącej nieopodal szopie. Mogły go zdradzić ślady na śniegu, ale Niemiec był zbyt pijany, a na ratunek przyszła sama przyroda. Po cichutku płatek za płatkiem, coraz więcej zaczęło spadać na ziemię śniegu...

Albert w pierwszej chwili zaniemówił, a potem wyrzucił z siebie ordynarną wiankę niemieckich przekleństw. Broniek znający trochę niemiecki aż usta otworzył z przerażeniem. Nigdy w życiu nie słyszał tak soczystej niemieczyny. Już po Felku, pomyślał i po nas... Upłynęło sporo czasu zanim Albert ochłonął, powrzeszczał na odchodnym i wreszcie poszedł...

– Co mu przyszło do głowy, zastanawiał się Adam na głos.

– Może ma jakieś kłopoty, Broniek na to, i chciał się wyładować.

– Dowiemy się jutro odparła Hanka. Pójdę poszukać Felka.

Tak się skończyła druga wigilia w niewoli. Nazajutrz wszyscy z niecierpliwością oczekiwali co powie Albert na temat wczorajszego zajścia z bronią. Czy przyjdzie po swój karabin, a może każe rozstrzelać Felka? Pełni niepokoju zabrali się do swoich codziennych obowiązków.

Albert przyszedł koło południa z tłumaczem, Felek w tym czasie był w stajni, karmił konie, akurat był przy swoim ulubionym Bułanku poklepując go przyjaź-

nie po szyi. Drzwi stajni otworzyły się na oścież. Stał w nich gospodarz na szeroko rozstawionych nogach, za nim niby się przykurczył, a może się Felkowi tylko wydawało stał tłumacz. Aha, przemknęło Felkowi przez myśl, zaraz zrobi ze mną porządek!

– Feliks, komm, usłyszał. Podeszedł posłusznie.

– Pan Albert pyta, usłyszał głos tłumacza, dlaczego wyrwałś mu wczoraj karabin z ręki i uciekłeś? Nie bałeś się wyrwać broni z rąk Niemca, twójgo pana. Przecież mógł cię rozstrzelać albo oddać na komendę do Królewca, a tam wiedzieliby co z tobą zrobić.

– Nie zastanawiałem się nad tym, Felek na to. Pierwsza myśl jaka mi przyszła do głowy to ratować nas wszystkich. Nie chciałem aby pan Albert kogokolwiek z nas zastrzelił i to w dodatku bez powodu.

– Tłumacz powoli przekładał słowa Feliksa na niemiecki. Albert słuchał uważnie nie przerywając. Gdy tłumacz zakończył podeszedł do stojącego w pokornej postawie Feliksa, poklepał go po ramieniu i rzucił krótko: gut Polak, gut!. W tym momencie Felek usłyszał z dalekiej oddali słowa ojca: „*pamiętaj, że jesteś Polakiem...*”.

– A teraz, zwrócił się tłumacz do Felka, oddaj broń.

Ten szczęśliwy, że żyje szybko wybiegł ze stajni. Po chwili był z powrotem trzymając zabezpieczony karabin w ręku.

– Bitte, odezwał się do Alberta wręczając mu broń...

Tego dnia do majątku Alberta przyjechało kilku Niemców. Po sutej kolacji, gęsto zakrapianej dobrym trunkiem przyszedł czas na kulig. Nasi Polacy, po ciężkim dniu myśleli tylko o tym by się położyć i zasnąć. Utopić we śnie tęsknotę za najbliższymi, niepewność jak potoczą się dalej ich losy i czy dane im będzie wrócić

do domu... Pobożne życzenie. Ni stąd, ni zowąd, zjawił się tłumacz (Karol mu było na imię), trzymając w rękach dwa grube żołnierskie płaszczki.

– Ty, wskazał na Felka i ty, na Adama wkładajcie i za mną!

– Nie będę nosił niemieckiego płaszcza, obruszył się Felek.

– A do jutra chcesz dożyć? Karol popatrzył na niego z politowaniem.

Po chwili wychodzili razem z Adamem.

– Zaprzęgać konie, rozkazał Karol.

Wyprowadzili ze stajni Szefa, Bułanka oraz dwie kłaczki – jedną piękną, śnieżnobiałą, którą Felek nazwał Magdalena, drugą brzydszej urody jeszcze nie ochrzczonej.

– Adam, zwrócił się Felek do kolego pozwól mi powozić Szefem i Bułankiem.

– Zgoda, ja wezmę obie kłaczki.

Sanie mknęły lekko przez ośnieżony las. Jak w Czarnymstoku, myślał Felek, ale głosy szwargoczących za plecami Niemców przywołały go do porządku. Podobne uczucia targały Adamem. Gdyby tak można odwrócić się i strzelić w rozeźmiane gęby, myślał. Tęsknił za rodziną, ojcem w starszym wieku, siostrą, która spodziewała się w początkach listopada 1939 roku rozwiązania – szwagier, podobnie jak on pomaszzerował do wojska...

Z niewesołych rozmyślań wyrwało go mocne uderzenie w ramię. Ściągnął lejce. Przed nimi zamigotały światła reflektorów. Z naprzeciwka nadjeżdżał wojskowy samochód. Adam w ostatniej chwili skierował rozpedzone konie na drugą stronę samochodu przejechał obok i zatrzymał się. Teraz Adam ściągnął mocniej lejce zatrzymując konie, to samo zrobił powożący z tyłu Felek.

Z auta wyskoczył szofer, przebiegł przed maską samochodu otwierając drzwi z drugiej strony. Oczom Adama ukazał się wysoki rangą niemiecki oficer. Na jego

widok siedzący w jednych i drugich saniach wyskoczyli momentalnie ze swoich miejsc stając na baczność. Adam z Felkiem byli w tej szczęśliwej sytuacji, że musieli trzymać konie, i tym samym nie mogli płaszczyć się przed jakimś tam Niemcem, jak go obydwaj określili w swoich myślach.

Krótką wymiana zdań. Honory, postawa zasadnicza i.. po sprawie. Auto z nieznanym Niemcem odjeżdża. Można wracać do domu.

Ta krótka przejażdżka dla łaknących rozrywki niemieckich żołdaków uzmysłowiła Adamowi jak bardzo jego życie zależne jest od dobrej woli, dobrego nastroju Niemców. Chociaż na pozór nic się nie wydarzyło, chwila dekoncentracji i na powożone przez Adama sanie mogło wpaść niemieckie auto, a wtedy? Może lepiej nie pytać co wtedy. Kto uderzył mnie w ostatniej chwili w ramię, rozmyślał w drodze powrotnej Adam...

\*\*\*

Niemcy powoli zajmowali kolejne kraje w Europie, Albert był zadowolony ze swoich parobków, jak ich nazywał. W Królewcu i okolicach panował względny spokój. Armia Fridericha von Paulusa odnosiła kolejne zwycięstwa. Odcięci od wszelkich wiadomości Felek, Adam, Broniek, wszystkie pracujące z nimi kobiety starali się jak najlepiej wypełniać swoje obowiązki. Każdy chciał wrzecznie wrócić do domu. Tak upłynął rok 1941, kolejna, tym razem bez przykrych wydarzeń, ale znowu bardzo smutna wigilia przeminęła. Nastął rok 1942. Rok, który zdecydował o bardzo istotnych zmianach w dotychczasowej walce na wojennych frontach.

Armia von Paulusa, przed którą jak się na początku wojny wydawało nikt się nie ostoi poniosła sromotną klęskę pod Stalingradem, a sam nieustraszony feldmar-

szalek poddał się do niewoli, ale nie to było najważniejsze. W tej bitwie, w lutym 1943 roku zginął także syn Alberta – Ernest.

Wiadomość o śmierci ukochanego jedynaka uderzyła w Alberta jak przysłowiowy piorun. Było to podczas niedzielnego obiadu, gdy w towarzystwie komendanta z Królewca prowadził ciekawą dysputę, jacy to Niemcy zdolni i odważni, ile już zrobili dla swojej ukochanej Rzeszy, a ile jeszcze zrobią...

Felek z resztą parobków też zasiedli do skromnego obiadu, gdy mroźną zimową ciszę rozdarł przeraźliwy ni to ludzki, ni zwierzęcy krzyk!

– Albert! – krzyknęli wszyscy na raz. Po chwili byli już przed budynkiem. Z budynku, w którym mieszkał gospodarz dobiegały nieludzkie wrzaski...

– Ernest!, Ernest!!!

\*\*\*

Wszystko na tej Ziemi ma swój czas. Jest czas wojny, czas pokoju, czas niewoli i ...powrotu do domu. Wojna dobiegła końca. W Polsce zapanował nowy polityczny porządek, z którym tak trudno będzie się pogodzić nie tylko Felkowi (o czym jeszcze nie wiedział), ale wszystkim mieszkańcom naszego kraju.

Po pięciu latach rozłąki Felek wracał do matki, sióstr. Dziewczyny już dorosłe rozglądały się za chłopakami, najszybciej, w 1941 roku wyszła za mąż Leonka. Mańka, ta kochana Mańka także podrosła, urodzona w 1929 roku miała 16 lat. Felek nie wiedział, że Jan ledwie z życiem uszedł z obozu, że po powrocie codziennie wychodził o świcie i przed zmrokiem za stołęgę, hen na pole i wypatrywał nieustannie czy Felek nie nadchodzi od strony Lipowca, bo tamtędy była najkrótsza droga od Panasówki, gdzie mógł się zabrać z kimś na furmankę jadącą od Zwierzyńca

czy Biłgoraja, gospodarze jeździli wtedy furmankami załatwiać różne sprawy. Nie wiedział również, że ciężko ranny Antek nie może dojść do zdrowia, rana okropnie się goiła. Cały czas opiekowała się nim Mańka, robiąc okłady podając coś do picia. Nie wiedział, bo i skąd że tyle spraw się wydarzyło.... to wszystko było ważne i smutne zarazem, ale Felek był wolny, naprawdę wolny...

***Regina Smoter Grzeszkiewicz***

Lublin,

17 lipca – 2 października 2019 roku.

Przypisy:

[1] Była to zacięta walka pomiędzy żołnierzami 3 Batalionu 75 Pułku Piechoty z Chorzowa dowodzonymi przez mjr. Tadeusza Chodorowskiego (pluton podążał w kierunku Tomaszowa Lubelskiego) a wojskami niemieckimi. Sukces polskich żołnierzy został okupiony znacznymi stratami – 70 z nich poległo, w tej liczbie major Chodorowski, reszta pod dowództwem kpt. Tadeusza Pawełczaka podążyła w kierunku na Tomaszów. Polegli spoczywają w kwaterze wojennej w Białym Słupie. Tablicę pamiątkową ufundowali mieszkańcy Zwierzyńca i okolic.

[2] Według danych z 1929 roku w Kowlu, wówczas mieście powiatowym w województwie wołyńskim zamieszkiwało 26.000 osób, w przeważającej części Żydów. Znajdował się stacja węzłowa linii kolejowych do Lublina, Brześcia, Kamienia Koszarskiego i Włodzimierza. W czasie I wojny światowej w okolicach koła Kowla toczyły się ciężkie walki, pamiątka po których jest cmentarz „Na Górcie” w odległości 3 km. od miasta. Pochowano tutaj 1820 żołnierzy (niemieckich, austriackich oraz 300 polskich). Zob. M. Orłowicz, „Ilustrowany przewodnik po Wołyniu”, Łuck 1929, s. 206, 212.

wicz, „Ilustrowany przewodnik po Wołyniu”, Łuck 1929, s. 144-146.

[3] Przy koszarach w Równem, gdzie stacjonował jednostka Antka w 1929 roku znajdowało się boisko Wojskowego Klubu Sportowego „Hallerczyk”. Równem wg. danych z 1929 roku było największym i najbardziej handlowym miastem województwa wołyńskiego, a jednocześnie ważnym węzłem kolejowym i stolicą powiatu rówieńskiego. Na ogólną liczbę 62 000 mieszkańców 10% stanowili Polacy. W 1906 roku założono w Równem Muzeum Wołyńskie – funkcjonowało do 1915 roku, zostało obrabowane przez Rosjan, a jego twórca Ołędzki dotkliwie przez nich pobity. Zob. M. Orłowicz, „Ilustrowany przewodnik po Wołyniu”, Łuck 1929, s. 206, 212.



**Przy kościele parafialnym pw. Świętych Piotra i Pawła w Równem**

*Fot. Józef Wieczorek*



## Świadectwo - Свідчення

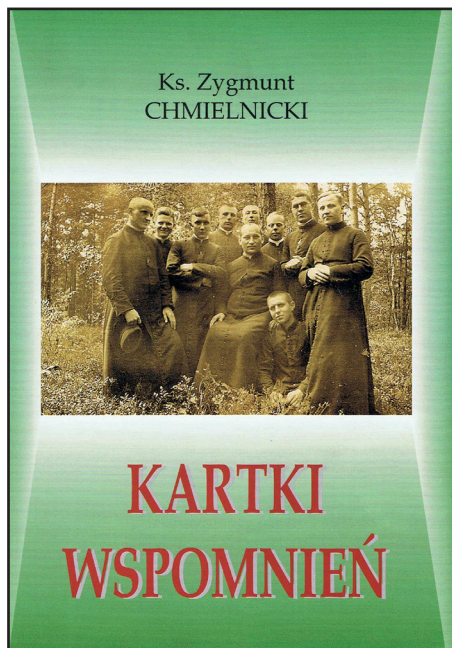
## EPIDEMIA TYFUSU W 1919 ROKU

Do klęsk, jakie przyniosła ze sobą wojna, należały epidemie hiszpanki i tyfusu. Trzeba było być kapłanem albo lekarzem, aby ocenić cały ogrom spustoszenia, dokonanego przez te epidemie.

Miałem wówczas parafę niewielką, a raczej kościółek filialny, bo Horoszki stanowiły filię parafii toporzyskiej. Ale w sąsiedztwie znajdowały się parafie pulińska, barszowska i uszomerska. Ze względu na wielki nawał pracy w tych parafiach, wsie, które miały bliżej do Horoszek, udawały się po kapłana do chorych zawsze tutaj. Owszem, z powodu niezdrowia proboszcza z Pulin, śp. ks. Rubikasa [1], wypadało odbywać do tej parafii nawet dalsze wycieczki. Napatrzyłem się przeto na wiele rzeczy, z których ledwo drobną część mogę objąć tymi wspomnieniami.

Po odprawieniu wczesnej Mszy św. znajdowałem przed plebanią zazwyczaj 4-5 furmanek do chorego. Było to literalnie dzień w dzień, czasem nawet w takie święta, jak Wielkanoc lub Boże Narodzenie. Dowiadywałem się o liczbie chorych w każdej wsi, aby wziąć ze sobą odpowiednią ilość komunikantów, i wydawałem dyspozycje, jak mają się rozdzielić owe furmanki. Jechało się później do jednej wsi, tam przesiadało się na inną furmankę, gdzie indziej znowu furmanka oczekiwała w polu w miejscu umówionym itd. Zdarzały się dni, że po wczesnym wyjeździe można było wrócić do domu dopiero o godzinie 1-ej w nocy, zwłaszcza gdy droga była zła.

Liczba chorych była niemożliwie wielka. Pamiętam dzień, gdy w Sosnowej Balarce parafii pulińskiej, pomimo że, wobec niezwykle ostrej w tej wsi epidemii, jeździłem tam po parę razy na ty-



dzień, miałem od razu do zaopatrzenia św. Sakramentami z górą 60 osób. Niektóre rodziny leżały pokotem. Niezapomniane wrażenie zostawiały izby, zawalone chorymi. Leżeli oni na łóżkach, na piecu, wreszcie w liczniejszych i uboższych rodzinach na podłodze nawet. Przy spowiedzi trzeba było zatykać wszystkim uszy, bo człowieka w gorączce nie zawsze można wypowiadać szeptem, i następnie po kolei odykać w miarę, jak się przechodziło od jednego do drugiego.

Nie zawsze bywało bezpiecznie mieć do czynienia z tyfusowymi. Nie mówię o możliwości zarażenia się, gdyż to rozumie się samo. Ale jeden z naszych kapłanów miał np. taki wypadek. Siada przy chorym, by słuchać spowiedzi. Ten wpa-

truje się w niego uważnie, nic nie mówiąc przez czas dłuższy. Wtem zrywa się z łóżka, rzuca się na kapłana i poczyną go dusić. Trzeba było usiłowań kilku osób, by wydobyć księdza z uścisków. W kilka tygodni potem jakiś człowiek padł w kościele temuż księdzu do nóg. Okazało się, że ów chory, po wyzdrowieniu, chciał go w ten sposób przeprosić za mimowolną zniwagę.

A zaraza szła i szła... Prowadziliśmy walkę z obiadami pogrzebowymi w domach żaloby, zwłaszcza tam, gdzie panował tyfus brzuszny. Trudna to była walka, gdy brakło władz sanitarnych, w ogólnym rozprzężeniu. Zdarzały się wypadki, że gdzie usłuchano namowy i nie urządzono obiadu, nawet bliska rodzina odmawiała przybycia na pogrzeb. Tyle jeszcze ciemnoty wśród ludu naszego.

Leczyć nie było komu i nie było czym. Ot tak, ludzie chorowali, zdając się jedynie na Opatrzność Bożą. Wyzdrowienie – to dobrze, a umrze – cóż robić? Jedyne zabieg – to odwar z suszonych gruszek i jabłek dla uśmierzenia pragnienia. Zaiste, straszne to były czasy. Ile osób drogich, ilu parafian znacznych, do których serce się przywiązało, trzeba było pochować! I znowu często jedynie na skutek tej ciemnoty, jak np. w wypadku, gdy chorego na czerwonkę ukochanego ucznia mojego, w okresie powrotu do zdrowia nakarmiono pieczonym jeżem, jako rzekomo najlepszym środkiem na czerwonkę, po czym w parę godzin ducha Bogu oddał.

Na pogrzeby można było wyjeżdżać bardzo rzadko. Najczęściej, ponieważ księdza nie było w domu, ludzie sami grzebali nieboszczyków na cmentarzu, a później w dni oznaczone odbywało się pieczętowanie grobów. Ale jeżeli czasem zjawiała się możliwość wyjazdu na pogrzeb, okazywało się we wsi po kilka trumien od razu, nawet po dwie z jednego domu.

Okropne bywały te procesje z trumnami od jednego domu do drugiego, aż wszystkie zmarłe owieczki się pozbierało i odprowadziło na miejsce odpoczynku. A w każdym domu szlochania lub reszta członków rodziny w gorączce, niezdająca sobie sprawy z tego, że to pogrzeb najdroższych osób. Dopiero po wyzdrowieniu dowiadawali się niektórzy, kogo stracili podczas swojej choroby. We własnej parafii miałem najwięcej obrazków tego rodzaju w Hucie Palejowskiej, gdzie nie było bodaj ani jednego domu, w którym by ktoś nie umarł, a w niektórych domach pozostawały tylko drobne dzieci, jako ławtwej znoszące chorobę.

Nie pamiętam ile wynosiła śmiertelność ogólna. Ale to wiem, że w ciągu dwóch lat groźnej epidemii i trzeciego roku łagodniejszej, liczba mogił na każdym ze znanych mi cmentarzy zwiększyła się co najmniej w dwójnasób.

**ks. Zygmunt Chmielnicki**

Przypis:

[1] Ks. Wincenty Rubikas urodził się w 1868 r. Ukończył seminarium duchowne diecezji łucko-żytomierskiej w Żytomierzu. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1893 r. Początkowo pracował jako wikary w parafii Dubno. Od 1904 r. do śmierci w 1927 r. był administratorem parafii Puliny (dek. Nowogród Wołyński), R. Dzwonkowski, „*Losy duchowieństwa katolickiego w ZSSR 1917-1939. Martyrologium*”, Lublin 1998, s. 414.

Jest to fragment następującej książki:

Ks. Zygmunt CHMIELNICKI, „*Kartki wspomnień*”, opr. Maria DĘBOWSKA, Biblioteka Wołania z Wołynia” t. 71, Biały Dunajce – Ostróg 2010, s. 28-30.





**Pamięć nie umiera** - Пам'ять не вмирає

## O BOHATERACH I GROBACH

W kwietniu tego roku przypada osiemdziesiąta rocznica wymordowania polskich jeńców w Katyniu i dziesiąta rocznica katastrofy smoleńskiej. Z tej okazji chcę przypomnieć twórczość Jerzego Kaliny, bo nikt dziś nie może się z nim równać w celności i sile wyrażania spraw tkwiących jak ciernie w polskiej pamięci. Kalina ukończył warszawską Akademię Sztuk Pięknych w 1971 r., jest rzeźbiarzem, scenografem, autorem filmów animowanych i dokumentalnych, twórcą instalacji i akcji artystycznych. Z oczywistych względów najbardziej znane są jego realizacje w przestrzeni publicznej.

Dzielone z polską wspólnotą emocje potrafi Kalina oblec w formę plastyczną zwięzłą i poruszającą. Pamiętamy na pogrzebie ks. Jerzego Popiełuszki rozdartą flagę w kształcie litery V na fasadzie kościoła św. Stanisława Kostki w Warszawie, wołającą o pośmiertnym zwycięstwie kapłana. A potem jego grób w postaci krzyża, będącego zarazem częścią różańca z polnych kamieni. Po prostu. Tylko tyle i aż tyle.

Właśnie Kalinie powierzono opracowanie koncepcji plastycznej Muzeum Katyńskiego w warszawskiej Cytadeli. Wstępny szkic, pokazywany w 2011 roku w Muzeum Wojska Polskiego jako wystawa „Pamięć nie da się zgłodzić” chwycił za gardło: na ścianach zwielokrotniona projekcja kilkunastominutowego filmu ukazującego naszych żołnierzy prowadzonych do sowieckiej niewoli, a w wielkich relikwiarzach – studniach wynikające z wody, sposobem elektronicznym, znalezione w dołach śmierci przedmioty. „Sprzączki i guziki z orzelkiem ze rdzy/ po miskach



**Pomnik Katyński w Podkowie Leśnej**  
Fot. Wikimedia Commons

*czerepów – robaków gonitwy/ zgnile zdjęcia, pamiątki, mapy miast i wsi/ ale nie ma broni. To nie pole bitwy” – śpiewał Jacek Kaczmarski.*

Uczestników tragicznego lotu, których celem było oddanie hołdu pomordowanym w Katyniu, upamiętnił Kalina na placu Piłsudskiego masywną rzeźbą z ciemnego granitu, nawiązującą kształtem do samolotowego trapu. Na nim nazwiska ofiar, a w ziemi, pod szklaną nawierzchnią, umieści (pomnik nie jest jeszcze ukończony) 96 świateł bijących w niebo. „Schody do samolotu, którego nie ma, schody do nieba, które jest” – napisał Jakub A. Maciejewski w „Gazecie Polskiej”.

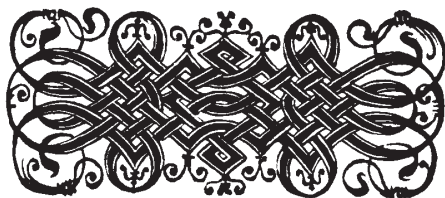
Spośród wielu trwałych realizacji autorstwa Kaliny wspomnę jeszcze pomnik rotmistrza Witolda Pileckiego, bohaterkiej postaci przez dziesięciolecia przemilczanej, odsłonięty w 2011 r. we Wrocławiu. To obrączka z czarnego metalu o średnicy ponad trzech metrów. Autor mówi, że nawiązuje do „czarnej biżuterii” noszonej w czasie powstania styczniowego i ma być symbolem wierności idei. Jest zarazem symbolem zaślubin z honorem, jak w pieśni o żołnierskiej ofierze pod Monte Cassino, tylko polem bitwy Pileckiego było więzienie w komunistycznej Polsce. Wewnątrz obrączki wyryto cytaty z listu więźnia do jego prześladowcy: „*Bo choćby i przyszło postradać me życie – tak wolę – niż żyć, a mieć w sercu ranę*”.

Istotnych spraw dotyka Kalina również w swoich instalacjach i działaniach, czyli krótkotrwałych wydarzeniach plastycznych, odnoszących się do konkretnych wydarzeń, rocznic i świąt. Gdy w stanie wojennym wielu artystów, nawiązując do tradycji jeszcze z czasów rozbiorowych, nadawało grobom wielkanocnym i szopkom bożonarodzeniowym akcenty patriotyczne, Kalina w kościele duszpasterstwa środowisk twórczych umieścił Grób w celi internowanych, a w kościele Św. Stanisława Kostki – Żłóbek 1984 roku w bagażniku polskiego fiata. Kilkakrotnie też budował ołtarze dla papieskich Mszy Świętych. Kiedy kraje „demokracji ludowej” przeżywały pierwsze miesiące radości z uwolnienia spod sowieckich wpływów ustawił w Pradze przewrócony czołg radziecki, który tracił całą swą groźbę jak bezradny, odwrócony na plecy żuk. Tworzyłem prac Kaliny bywają różne materiały ale zawsze surowe i proste, jak zardzewiałe żelastwo, ziemia, piasek, kłody drewna, płody ziemi, żywy ogień i lód, także fotografie.

W ubiegłym roku odniósł się do dramatycznych wydarzeń z 17 września 1939 roku. Na dziedzińcu Zamku Królewskiego ustawił dwa ogromne powiększenia propagandowego zdjęcia, na którym rozeźmiani niemieccy żołnierze łamią nasz szlaban graniczny. Żołdakom na drugim zdjęciu domalował na hełmach pięcioramiennie czerwone gwiazdy. Piotr Bernatowicz, dyrektor Centrum Sztuki Współczesnej powiedział na tej uroczystości: „*Prawdę o II wojnie światowej próbowano zredukować i – wszystko na to wskazuje – nadal będzie się to robić. Mimo to lub właśnie z tego powodu powinniśmy tę prawdę głosić, bo tylko ona może wyzwolić i ofiarę i drapieżnika*”. Lokalizacja instalacji i obecność ministra kultury i dziedzictwa narodowego Piotra Glińskiego przypominały, że tego samego tragicznego dnia, na skutek ostrzału artyleryjskiego, stanął w płomieniach Zamek. Dla ciągle jeszcze broniącej się Warszawy był to zły omen. Ale w tej beznadziejnej sytuacji mieszkańcy i muzealnicy rzucili się do ratowania najcenniejszych zbiorów. Zginął wtedy trafiony odłamkiem kustosz Zamku Królewskiego Kazimierz Brokl. Przy upamiętniającej go tablicy minister położył kwiaty.

Sztuka Jerzego Kaliny mówi o sprawach ważnych. Patrzysz i wiesz. Ten jest z ojczyzny mojej. W czasach zamętu i panoszącego się kłamstwa to błogosławione uczucie.

*Joanna Mansfeld*



Historia - Історія

# PRZESIEDLENIE LUDNOŚCI CZESKIEJ Z WOŁYNIA DO CZECH (1944-1947)

## WOŁYŃSCY CZESI PRZED 1944 ROKIEM

Historia czeskiego osadnictwa na Wołyniu sięga lat 60-tych XIX w, kiedy to po powstaniu styczniowym władze carskie sprzedawały po niezwykle atrakcyjnych cenach majątki skonfiskowane Polakom. Z punktu widzenia Rosjan Czesi byli doskonałymi osadnikami, gdyż nie tylko gwarantowali rozwój gospodarczy regionu, ale przede wszystkim dawali pełną gwarancję lojalności wobec caratu. Pomimo starań władz rosyjskich czescy osadnicy nie spełnili pokładanych w nich nadziei i bardzo szybko ułożyli sobie doskonale stosunki z miejscową ludnością, zachowując przy tym swoją odrębność narodową i kulturalną. W przeciągu nieco ponad siedemdziesięciu lat obecności na Wołyniu Czesi niemalże od podstaw wybudowali kilkadziesiąt miejscowości oraz zagospodarowali ogromne połacie ziemi. Wysoka kultura rolna, którą przywieźli wraz ze sobą na Wołyń, już po kilkunastu latach pracy przyniosła doskonałe efekty, sprawiając iż czeskie miejscowości na Wołyniu należały do najbardziej zamożnych.

W okresie międzywojennym mimo pewnych perturbacji związanych z konfliktami pomiędzy Polską a Czechosłowacją wołyńscy Czesi pozostali lojalnymi obywatelami Rzeczypospolitej. Przed wybuchem wojny licząca nieco ponad 30 tys. [1] osób czeska społeczność odgrywała znaczącą rolę ekonomiczną, głównie w przetwórstwie spożywczym oraz w pro-



**Pomnik na cmentarzu w Martynówce,  
zawierający spis pochowanych  
tutaj Czechów**

*Fot. Ryszard Frączek*

dukcji chmielu, który stał się swoistym symbolem wkładu Czechów w rozwój Wołynia. Dzięki dużej aktywności społecznej wołyńscy Czesi dysponowali własnym szkolnictwem oraz bogatą siecią organizacji społecznych i kulturalnych [2].

W 1939 r. wołyńscy Czesi zachowali wierność wobec Rzeczypospolitej. Po wkroczeniu Sowietów uniknęli co praw-





**Rzymskokatolicki kościół pw. św. Wacława w Kupiczowie po wojnie został zamieniony na młyn Fot. Wikimedia Commons / Viacheslav Galievskyi**

da masowych represji, jednakże ze względu na swój stan majątkowy w większości zostali zakwalifikowani jako kułacy, co z kolei groziło poważnymi problemami w przyszłości. Od niechybnych wywozek uratował ich wybuch wojny niemiecko – sowieckiej. Podczas okupacji niemieckiej wołyńscy Czesi znaleźli się w identycznej sytuacji jak ludność polska. Po rozpoczęciu przez UPA masowych rzezi Czesi starali się zachować neutralność, jednakże po eskalacji przemocy zrozumieli, iż staną się kolejną grupą poddaną eksterminacji. Odmowa współdziałania z UPA i obawa zemsty skłoniły ludność czeską do tworzenia własnej samoobrony, która aktywnie współpracowała z polskim podziemiem. Centralnym ośrodkiem polsko-czeskiej samoobrony był dwukrotnie atakowany przez UPA Kupiczów, jednakże w drugiej połowie 1943 i w 1944 r. co raz

częściej dochodziło do napadów na czeskie wsie, które były traktowane przez ukraińskich nacjonalistów jako potencjalni wrogowie. Warto podkreślić fakt, iż czescy sąsiedzi niejednokrotnie ratowali i nieśli pomoc ocalałym z rzezi Polakom, za co często płacili własnym życiem. Według szacunkowych danych z rąk UPA zginęło ok. 350 wołyńskich Czechów [3].

Sytuacja czeskich miejscowości diametralnie zmieniła się po zajęciu Wołynia przez Armię Czerwoną. W ramach powszechnej mobilizacji umożliwiono Czechom dobrowolne zgłaszanie się do Armii gen. Ludwika Svobody. Pobór obejmował roczniki od 1926, jednakże do wojska zgłaszali się również młodszy chłopcy, dla których armia była schronieniem przed wywózką na roboty w głąb ZSRR, mobilizacją do Armii Czerwonej lub też do walczących z UPA Istriebitielnych Ba-

talionów. Łącznie do wojska zgłosiło się prawie 12 tys. wołyńskich Czechów, w tym 266 kobiet ochotniczek. Większość trafiła do 3 Brygady Piechoty wraz z którą po dość krótkim przeszkoleniu wyruszyła na front [4]. Krwawy chrzest bojowy wołyńscy Czesi przeszli pod Duklą. Ogółem w czasie wojny straty bojowe wśród czeskich Wołyniaków wyniosły 691 poległych w walce, 195 zmarłych na skutek ran oraz 211 zaginionych bez wieści [5].

### SYTUACJA CZESKICH WSI W LATACH 1944-1947

W wyniku przeprowadzonej mobilizacji czeskie wsie zostały praktycznie ogołoczone z dorosłych mężczyzn. W wielu pozostały jedynie kobiety z dziećmi i starcy. Pozbawione obrony miejscowości stały się miejscem rabunków ze strony UPA oraz zwykłych kryminalistów, którzy traktowali Czechów jako łatwą zdobycz [6]. Co prawda nieliczni nastolatki wie i starsi mężczyźni, którzy uniknęli poboru do wojska, zostali wcieleni do Istriebitlenych Batalionów, jednakże nie byli w stanie zapewnić skutecznej ochrony przed napadami. Mimo nikłego zaangażowania Czechów w toczone na Wołyniu walki partyzanckie kilku z nich zginęło w wyniku starć z ukraińskimi nacjonalistami. Zapewnienie bezpieczeństwa mieszkańcom czeskich wsi stało się sprawą krytyczną. Po przesunięciu się frontu na Wołyniu pozostała co prawda Czeska Komen-dantura Wojskowa w Równem, jednakże ze względu na małą liczebność i czysto biurokratyczny charakter nie była w stanie zapewnić należytej ochrony dla swoich rodaków. Pomimo tego do koman-dantury wpływały prośby czeskiej ludności o ochronę poszczególnych miejscowości przed napadami. W większości przypadków pozostawały one bez odpowiedzi. Tylko czasami udawało się wysłać do za-

grozonych wsi kilku zdemobilizowanych rezerwistów bądź powracających ze szpitali rekonwalescentów [7].

Z czasem sytuacja uległa poprawie, jednakże rabusiów i upowców zastąpili działający w majestacie sowieckiego prawa urzędnicy i funkcjonariusze organów bezpieczeństwa. W tym miejscu warto podkreślić, iż w ocenie ludności czeskiej na Wołyniu z całego okresu wojny najtrudniejsze były lata 1945-1946. Ogromnym problemem dla ogołoconych z mężczyzn wsi był głód oraz gigantyczne kontyngenty narzucone przez władze sowieckie, które odbierały żywność skuteczniej od Niemców. Szczególną groźbę wśród wołyńskich Czechów budziła anarchizacja życia oraz wszechobecny terror stosowany przez wszystkie przemieszczające się przez Wołyń oddziały – począwszy od band rabunkowych i UPA a na przedstawicielach władzy sowieckiej skończywszy. O ile banderowcy dopuszczali się jedynie rabunków (na tle obrony majątku dochodziło do sporadycznych starć zakończonych ofiarami), to sowieci oprócz usankcjonowanej prawem grabieży dokonywali także licznych aresztowań, ofiarami których padali najbardziej zaradni i przedsiębiorczy przedstawiciele czeskiej mniejszości. Powodem zatrzymań były najczęściej zarzuty dotyczące współpracy z Niemcami w okresie okupacji bądź też „kulactwo”, które według sowieckich norm można było zarzucić niemalże wszystkim Czechom [8].

Zakończenie działań wojennych wiązało się z demobilizacją żołnierzy. Na Wołyń powrócili jednak nieliczni – szacunkowe dane mówią o około tysiącu żołnierzy, wśród których większość stanowili ranni zwolnieni ze szpitali położonych w głębi ZSRR oraz ojcowie rodzin, którzy zrezygnowali z możliwości osiedlenia się na terenach odebranych Niemcom [9].



**Kaplica na cmentarzu czeskim w Martynówce k. Hruszwicy**

*Fot. Ryszard Frączek*

Większość pozostała jednak na terenie Czechosłowacji. Do października 1945 r. osiedlono prawie 70 % zdemobilizowanych żołnierzy pochodzących z Wołynia. Mimo oficjalnego poparcia władz wołyńscy Czesi nie byli zbyt dobrze przyjmowani na nowych terenach, gdyż dla osadników z terenu Czech i Moraw byli niechcianą i uprzywilejowaną konkurencją, a dla miejscowych komunistów stanowił zagrożenie, ponieważ na własnej skórze odczuli dobrodziejstwa sowietywizacji i w przeciwieństwie do reszty nieświadomej ludności doskonale zdawali sobie sprawę z zachodzących przemian. Niemniej jednak akcja osiedleńcza trwała nieprzerwanie do jesieni 1946 roku. W jej rezultacie gospodarstwa przydzielono 2672 wołyńskim żołnierzom, spośród których 1865 otrzymało je na terenie Czech, a 895 na Morawach i Śląsku [10].

Poważnym problemem była przedłużająca się rozłąka rodzin. Władze sowieckie traktowały pozostałych na Wołyniu Czechów jako własnych obywateli i nie zgadzały się na ich wyjazd. W kwietniu 1946 r. osiemdziesiąt pięć zdesperowanych żon żołnierzy próbowało się przedostać do Czech, jednak próba ta została udaremniiona przez sowieckich pograniczników. Liczne naciski ze strony co raz bardziej sfrustrowanych żołnierzy, rodziny których pozostały na Wołyniu, stały się jednym z głównych czynników zmuszających władze czeskie do działania [11].

Przedłużające się rokowania pomiędzy rządem Czechosłowacji i ZSRR zakończyły się latem 1946 roku. W dniu 10 czerwca 1946 r. podpisano umowę pomiędzy Czechosłowacją a ZSRR „o wzajemnym przesiedleniu obywateli sowieckich narodowości Czeskiej i Słowackiej za-



mieszkałych na terenie byłej guberni wołyńskiej i obywateli czechosłowackich narodowości ukraińskiej, rosyjskiej i białoruskiej zamieszkujących na terenie Czechosłowacji”. Na mocy jej postanowień na stanowisko Głównego Pełnomocnika ds. realizacji przesiedlenia powołano dr Wacława Satawa oraz Andirja Cokoła, który reprezentował stronę sowiecką. Na siedzibę obu urzędników wyznaczono Łuck, a przedstawicielstwa terenowe postanowiono rozlokować w Dubnie, Równem, Sienkiewiczówce, Szepietówce, Werbie, Zdołbunowie i Żytomierzu. Wedle pierwotnych założeń zapisy na wyjazd miały trwać do 15 września, a sama realizacja umowy powinna zakończyć się 15 listopada 1946 r., jednakże wyznaczone przez urzędników terminy były całkowicie nierealne. Już na samym początku pojawiły się problemy z ratyfikacją dokumentu. Utrudnienia ze strony sowieckiej sprawiły, iż grupa czeskich urzędników odpowiedzialnych za repatriację przyjechała do Łucka dopiero 27 listopada 1946 r., a zapisywanie chętnych na wyjazd rozpoczęło się dopiero na początku grudnia. Priorytetem było ściągnięcie w pierwszej kolejności rodzin żołnierzy, których już osiedlono w Czechach. Sam przebieg rejestracji był dość spokojny, choć nie obywało się bez trudności. Szczególnie problematycznym było dotarcie do oddalonych miejscowości, w którym przeszkadzały nie tylko silne mrozy, ale także strach przed napadami banderowców [12].

Pomimo niesprzyjających warunków do końca grudnia 1946 r. na wyjazd do

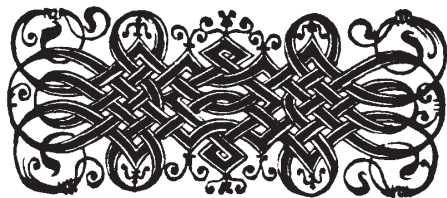
Czechosłowacji zapisało się 32 359 osób. W kolejnych miesiącach zarejestrowano jeszcze ponad 10 tysięcy chętnych. Poważnym problemem nieuregulowanym umową z 10 czerwca 1946 r. były rodziny mieszane, którym strona sowiecka odmawiała prawa wyjazdu. Ostatecznie po wielu pertraktacjach sowieci zgodzili się, iż z ZSRR mogą wyjechać te rodziny, których głową jest Czech. Kobiety, których mężowie byli obywatelami sowieckimi musiały pozostać na Wołyniu [13].

#### PRZEBIEG REPATRIACJI W 1947 ROKU

Akcja przesiedleńcza rozpoczęła się w końcu stycznia 1947 roku. Pierwszy transport z wołyńskimi Czechami odjechał z Dubna 30 stycznia 1947 roku [14]. Podobnie jak i podczas akcji przesiedlania Polaków ujawnił się bałagan organizacyjny oraz wymuszanie przez sowieckich urzędników i kolejarzy „specjalnych opłat” i łapówek. Plagą było również zmuszanie do spłaty nienależnych podatków oraz zaniżanie wartości pozostawianego majątku. Dla wielu rodzin dużym problemem były ograniczenia ilościowe dotyczące wywozu sprzętów domowych oraz gotówki, którą pozwalano zabierać jedynie w ilości 1000 rubli na osobę [15].

W chwili wyjazdu Czesi prezentowali bardzo różne postawy. Większość dążyła do jak najszybszego wyrwania się z sowieckiego raju, choć nie brakowało też osób wykazujących przesadną lojalność wobec ZSRR – przykładem są tutaj właściciele ziemscy z rejonu Zdołbunowa, którzy przekazali sowieckim władzom 500 kwintali zboża jako swój dar i wyraz wdzięczności za całe dobro, którego doświadczyli na Wołyniu w ciągu 80 lat [16].

Pomimo trudności i wielu nadużyć ze strony przedstawicieli władz cała akcja przesiedleńcza przebiegła bez większych zakłóceń. Ostatecznie przesiedlono 10



502 rodziny liczące łącznie 34 010 osób [17], dla których tak jak i dla polskich repatriantów rozpoczynał się zupełnie nowy rozdział życia.

*Adam Kaczyński*

#### PRZYPISY:

[1] Zgodnie z danymi spisu z 1931 r. na Wołyniu mieszkało 30 977 Czechów, z czego 28 464 (88 %) na wsi: Suszyk I, „*Mihracyjni procesy na Wołyni u 40-50 rokach XX st.*”, „Naukowyj Wisnyk Wołyńskoho Derżawnoho Uniwersytetu im Łesi Ukrainki”, 2007, s. 148.

[2] Dzieje wołyńskich Czechów opisuje w swojej monografii Jaroslav Vaculik, „*Dějiny vołyńských Čechů*”, Praha 1998, T I – III.

[3] Monika Śladewska, „*Wołyńskie losy Czechów*”, „Przegląd” nr 28/2010, wersja elektroniczna na [www.przegląd-tygodnik.pl/artukul/wołyńskie-losy-czechow](http://www.przegląd-tygodnik.pl/artukul/wołyńskie-losy-czechow), [dostęp z dnia 21.12.2013].

[4] Przykładem ilustrującym typowe losy wołyńskich Czechów zmobilizowanych do wojska jest historia Józefa Preczyńskiego, pół Polaka – pół Czecha ze wsi Nowosielki Czeskie pod Horochowem, którego ojca zabili banderowcy. Wiosną 1944 r. po ogłoszeniu poboru do armii mógł wybrać między Armią Czerwoną, Wojskiem Polskim a Korpusem Generała Svobody. Ostatecznie wybrał armię czeską. Po trzech miesiącach szkolenia w ośrodku pod Kamieńcem Podolskim, trafił na front pod przełęczą Dukielką, gdzie z całego plutonu przeżyło jedynie 10 osób. Po bitwie trafił do szpitala w głębi ZSRR. Do rodzinnej wsi powrócił po zwolnieniu z wojska. Wołyn opuścił w 1947 r. – Józef Preczyński, „*Z Polskiego Wołynia w Czeskie Sudety*”, Towarzystwo Miłośników Ziemi Bogatyńskiej – wersja elektroniczna na [www.tnzb.eu](http://www.tnzb.eu), [dostęp z dnia 12.11.2013].

[5] Jaroslav Vaculik, „*Dějiny...*”, T. II s. 79, 81-83.

[6] J. Kubovy, „*Minulost zavata casem. Stranky ze zivota ve Velykem Spakove a nejen tam*”, Fulnek 2004, s. 106.

[7] Jaroslav Vaculik, „*Dějiny...*”, T. III, s. 27.

[8] Jaroslav Vaculik, „*Dějiny...*”, T. III, s. 28; Bonek J, Manova D, „*Hulec Česka na Volyni*”, brak miejsca wydania, s. 160.

[9] Kubovy J, op.cit..., s. 111-112.

[10] Vaculik J, „*Dějiny...*”, T. III, s. 16-18.

[11] Ibidem, s. 19.

[12] Ibidem, s. 35.

[13] Szulha S, „*Rodyna wołyńskich czechiw Prokupekiw*”, „Naukowyj Wisnyk Schindoeuroprijskoho nacionalnoho uniwersytetu imeni Łesi Ukrainki”, nr 5 2015, s. 68-76.

[14] Irzi Hofman, „*Čechy na Volyni*”, Praha 1998, s. 24.

[15] Jaroslav Vaculik, „*Dějiny...*”, T. III, s. 30-32.

[16] Ibidem..., s. 37.

[17] Ibidem..., s. 38.



**Chrystus z Martynówki k. Hruszowicy**  
*Fot. Ryszard Frączek*

Dziedzictwo - Спадщина

## KRAJOBRAZY UTRACONE, SŁAWUTA – ARABY, LOKOMOBILE I KUMYS



Pałac Sanguszków w Sławucie na starej pocztówce

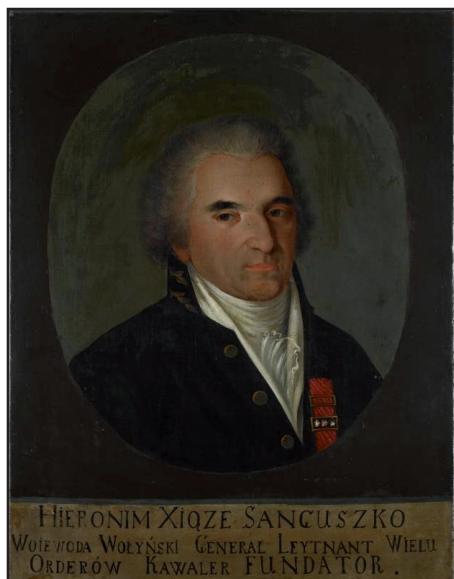
Fot. *Wikimedia Commons*

Nie sposób zrozumieć, czym były Kresy Wschodnie, bez uświadomienia sobie ogromu potęgi, wpływów i możliwości starych historycznych rodów polsko-litewsko-ruskich, które przez wieki niepodzielnie władaly milionami hektarów ziem uprawnych, lasów i łąk oraz tysiącami miast, miasteczek i wsi na wschodnich terenach dawnej Rzeczypospolitej. To właśnie wybitni przedstawiciele magnackich rodzin potrafili niekiedy tak skutecznie nadać ton i kierunek rozwojowi swoich włości, że i po stuleciach – mimo zmian politycznych i ustrojowych – ciągle jeszcze wiele spraw toczy się tam

zgodnie z ich myślą i wolą, chociaż dzisiejsi mieszkańcy tych miejsc często już o tym nie wiedzą.

Na Wołyniu, w powiecie zasławskim województwa wołyńskiego, pośród obszernych lasów nad Horyniem i wpadającą doń Utką (dawniej Dereźnia) leżała niegdyś stolica wielkich dóbr ziemskich książąt Sanguszków – miasteczko Sławuta. A były to majątności zaprawdę ogromne, gdyż liczyły sobie ok. 110 tys. hektarów. Połowę tego obszaru stanowiły ziemie orne, lasy zajmowały ok. 33 tys. ha, a pozostały teren porastały trawy łąk i pastwisk oraz chaszcze nieużytków. Całość





**Hieronim Janusz Sanguszko**  
1743-1812

*Autor portretu nieznaný*  
*Muzeum Okręgowe w Tarnowie*

dóbr sławuckich dzieliła się na trzy klucze: białogródecki, sławucki i zasławski. Klucze z kolei dzielono na folwarki, których było ok. 65. W skład latyfundium wchodziło ponadto 95 wsi i 3 miasta, tj. Białogródką, Sławutą i Zasław. Ziemie te, należące w przeszłości do gigantycznego kompleksu majątków książąt Ostrogskich z pobliskiego Ostroga, stały się na niemal dwieście lat własnością rodu Sanguszków w roku 1720. W 1907 roku utworzona została ordynacja sławucka. Sama Sławuta, wzmiankowana w 1633 roku, cieszyła się pierwotnie miejskimi przywilejami, ale najazdy i wojny kozackie niemal doszczętnie ją zrujnowały. Za sprawą nowych właścicieli król August III wydał w roku 1754 przywilej nadający miejscowości prawo magdeburskie, czyli po prostu prawa miejskie. Miasto mogło zatem wy-

stawić obwarowania i organizować dwa jarmarki doroczne, a oprócz tego mogły w nim funkcjonować targi tygodniowe. Na miejskim rynku stanął okazały ratusz wzniesiony na planie wydłużonej podkowy.

Tak oto Sławuta związała się na dobre i na złe z wywodzącym się – poprzez Jagiełłowego brata przyrodniego Fiodora – od wielkiego księcia litewskiego Giedymina rodem magnackim herbu Pogoń, którego kolejne pokolenia były dobroczyńcami regionu. Uzupełnijmy, że w wyniku rozbiorów miasto znalazło się w granicach Imperium Rosyjskiego, należąc administracyjnie do powiatu zasławskiego w guberni wołyńskiej.

Około roku 1840 książę Roman Sanguszko założył w swoim mieście fabrykę sukna (zatrudniała ok. 400 robotników), papiernię oraz zakład wyrobów mechanicznych (zatrudniał ok. 200 robotników), w którym wytwarzano m.in. narzędzia rolnicze i lokomobile (niewielki parowy zespół napędowy służący do wprawiania w ruch maszyn rolniczych lub urządzeń w warsztatach produkcyjnych). Działały tam ponadto 3 młyny wodne, tartak parowy, browar, mydlarnia i fabryka świec. I tak oto ukształtował się niewielki ośrodek przemysłowy. Od połowy XVIII w. istniała też w Sławucie słynna drukarnia hebrajska, zamknięta w 1838 roku.

Miasto słynęło również w całej Europie z liczącej ok. 800 wierzchowców stadniny koni krwi arabskiej. Dla pięćdziesięciu ogierów wybudowano nawet specjalną stajnię z ujeżdżalnią (rajtszula) w pawilonie opodal książęcej rezydencji.

Wraz z rozwojem miasteczka wzrastała również liczba jego mieszkańców. Tak więc w roku 1870 było ich 3259 (65% ludności stanowili Żydzi), a w 1897 roku odnotowano już 8,5 tys. sławuczán. Przypomnijmy jeszcze, że w grodzie nad Ho-

ryniem urodził się powieściopisarz Henryk Rzewuski, generał Maciej Rybiński i malarz Włodzimierz Łoś.

Pod koniec XIX w. Sławuta stała się znana z jeszcze innej przyczyny. Otóż w 1879 roku w lesie sosnowym nad Horyniem urządzono zakład leczenia kumysem z mleka kobyłego, który rozwinął się zwłaszcza po roku 1884 pod zarządem doktora Dobrzyckiego. Dodajmy, że w owym czasie kumys uważano za środek pomocny w leczeniu m.in. gruźlicy. W roku 1887 odnotowano 629 leczących się tam chorych.

Później doceniono jeszcze bardziej klimatyczne walory Sławuty. Powstał zatem zakład wodoleczniczy, leśna stacja klimatyczna i sanatorium doktora Dzierżbickiego. W latach poprzedzających wybuch I wojny światowej do miasteczka przyjeżdżało corocznie ok. 2 tys. kuracjuszy. Do wzrostu liczby gości niewątpliwie przyczyniło się poprowadzenie w tym rejonie brzesko-kijowskiej linii kolei żelaznej. Z okien wagonów można było podziwiać ciągnące się kilometrami, znakomicie utrzymane sławuckie lasy. W samym mieście oko przyciągała zieleń parków i woda zasilanych przez rzeczkę Utkę stawów.

W stolicy książęcych włości musiała oczywiście istnieć odpowiednia rezydencja właścicieli. Szczegółowe informacje na ten temat podają w swoich opracowaniach Roman Aftanazy i dr Władysław Berkowski. Otóż od strony północnej na wyniosłym wzgórzu nad brzegiem Dereżni (Utki) stał niegdyś drewniany zameczek, na miejscu którego Sanguszkowie wzniesli budowlę kamienną, rozbudowaną następnie około roku 1754. Status głównej siedziby rodu Sławuta uzyskała w latach osiemdziesiątych XVIII w., kiedy to w roku 1782 zameczek przebudowano na pałac barokowy według projektu ar-



**Eustachy Erazm Sanguszko**  
1768-1844

*Portret pędzla Wojciecha Kossaka*  
*Repr. Archiwum*

chitekta Lusjena Merksa. Otoczony malowniczo położonym nad rzeką parkiem nowy pałac był budynkiem piętrowym z dwiema oficynami po bokach.

Kolejny etap rozbudowy zespołu rezydencjalnego nastąpił na przełomie XVIII i XIX w. Na skraju pałacowego parku w l. 1817-1822 wzniesiono z polecenia księcia Eustachego Sanguszki murowany trzynawowy kościół parafialny pod wezwaniem św. Doroty, wybudowany na wzór kościoła św. Eustachego w Paryżu. Od strony wschodniej dodano do świątyni kaplicę z grobowcem książąt Sanguszków. W mieście zbudowano też cerkiew prawosławną – również ufundowaną przez Sanguszków. Dzięki staraniom księżny Barbary Sanguszkowej sławucka rezydencja staje się w tym czasie centrum życia towarzyskiego w okolicy.



Okolo 1840 roku książę Eustachy Sanguszko po raz kolejny rozbudował swoją siedzibę. Dodano wtedy drugie piętro, a do prawego ryzalitu frontowego przystawiono dwukondygnacyjny podjazd arkadowy z tarasem.

Tak więc ostatecznie całość prezentowała się następująco: Korpus główny pałacu posiadał centralny ryzalit półokrągły z wysoką attyką oraz dwa ryzality boczne zwieńczone trójkątnymi frontonami. Niski parter o kwadratowych oknach oddzielony był profilowanym gzymsem od pierwszego piętra, które posiadało duże prostokątne okna. Były też dwie oficyny (kuchenna i gościnna) oraz oddzielne pawilony (m.in. klasycystyczny piętrowy z obszernymi stajniami).

Po śmierci księcia Eustachego Sanguszki w 1844 roku pałac nie był zamiesz-

kały. W 1866 roku na pierwszym piętrze umieszczono archiwum, bibliotekę (ok. 6 tys. tomów; wiele cennych rękopisów) oraz kolekcje porcelany, starej broni, tzw. starożytności i malarstwa (galeria obrazów została później niemal w całości przeniesiona do Zasławia).

W tym czasie właściciele mieszkali w klasycystycznym pawilonie, nad dawnymi stajniami. Była to budowla składająca się z trzech budynków dwukondygnacyjnych zwróconych krótszymi bokami w stronę rzeki Utki i połączonych parterowymi pomieszczeniami byłych stajen. Budynek centralny dekorowały przyściennie kolumny, a budynki boczne posiadały niewielkie balkony. Dla gości wzniesiono niewielki pałacyk, tzw. Dom Hrabianek.

Po roku 1868 opuszczony pałac ponownie ożywa staraniem księżny Karoliny, żony księcia Romana Damiana Sanguszki. Wtedy to właśnie ozdobiono ogród przed rezydencją, zasadzając na piaszczystych pagórkach liczne drzewa i krzewy oraz kwiaty. Ustawiono też szereg fontann ozdobionych wspianiałymi rzeźbami sprowadzonymi z Włoch.

Z kolei po 1884 roku rozrastające się archiwum i część biblioteki przeniesiono do pawilonu nad stajniami, a następnie do dawnej kaplicy usytuowanej naprzeciwko pałacu na skraju parku.

Ostatnia przebudowa rezydencji miała miejsce po pożarze w 1905 roku. Zmieniono wtedy konstrukcję dachu i pokryto go blachą. Spójrzmy więc i my po raz ostatni na zamkowe wzgórze przed mającą niedługo nadejść katastrofą wojenną i rewolucyjną. A zatem za tzw. Średnim Stawem rozciągał się odgradzony od miasta murem i parkanem park. W parku na wzgórzu na prawym brzegu Utki stał pałac książęcy, stajnie, kuchnia, oficyna dla służby pałacowej, oranżeria, kordegarda, kuźnia i altanka. Za parkiem znajdo-



**Roman Stanisław Sanguszko**  
1800-1881

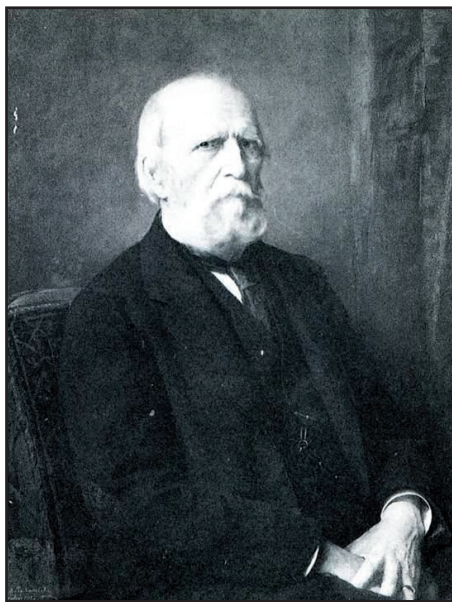
*Autor portretu nieznaný*  
*Repr. Wikimedia Commons*

wał się kościół św. Doroty. Obok centralnego korpusu pałacowego stał „*Dom Hrabianek*” – pałacyk gościnny, a na zachód od niego aż do stacji kolejowej ciągnął się prywatny park „*Zwierzyniec*”, gdzie mogła zażywać relaksu i niekiedy polować książęca rodzina oraz jej goście. Dodać tu wypada, że na lewym brzegu rzeki założono ogólnodostępny park „*Albanka*”, zajmujący teren od Średniego Stawu do fabryki fajansu.

Ten może nieco nużący opis architektoniczno-topograficzny nie jest – jak ośmielał się mniemać – pozbawiony sensu. Pokazuje nam bowiem, jak poprzez działania kolejnych pokoleń właścicieli, zgodnie z ich gustem i upodobaniami, narastały się niczym słoje starego drzewa mury wiekowego gmachu. Owo narastanie i przenikanie się na przestrzeni dziejów twórców ludzkiej woli i mozołu nazywamy zakorzeniem, z którego rodzi się ważna rzecz – tradycja.

Sławucka rezydencja Sanguszków została zrujnowana podczas rewolucji w l. 1917-1918. Wtedy też (1 XI 1917 r.) zrewoltowani żołnierze zamordowali księcia Romana Damiana Sanguszkę. Pałac obrabowano i częściowo spalono. Jego ruiny rozebrano po roku 1922. Do dzisiaj z dawnego założenia pozostały tylko dawne stajnie i kościół św. Doroty.

Po I wojnie światowej i po zakończeniu wojny polsko-radzieckiej Sławuta znalazła się w granicach Rosji Radzieckiej (później ZSSR) na terenie ukraińskiej SRR. Obecnie jest liczącym ok. 35,5 tys. mieszkańców (2011 r.) miastem rejo-



**Roman Damian Sanguszko**  
1832-1917

*Repr. Archiwum*

nowym na Ukrainie w obwodzie chmielnickim. Wyznaczony przez Sanguszków przemysłowy kierunek jego rozwoju jest kontynuowany, o czym świadczą liczne zakłady przemysłowe nadające Sławucie cechy ośrodka fabrycznego.

Jest to – można by rzec zapewne z jakąś dozą przesady – swego rodzaju zwycięstwo ducha nad materią. Choć domostwo na wzgórzu dawno już zniknęło z krajobrazu miasta, to wizja i myśl zrodzona w umysłach kolejnych pokoleń jego rezydentów jest przecież w pewnym sensie realizowana. Znajdźmy w tym odrobinę optymizmu, a może i satysfakcji?

*Marek Żukow-Karczewski*

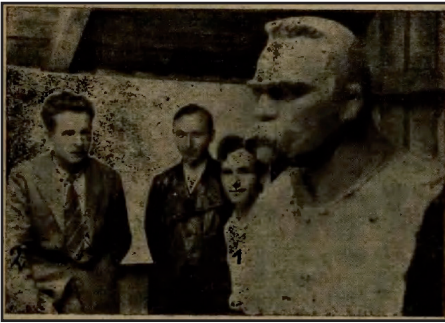


Poezja - Поезія

# «A MOJE WIERSZE CZYMŻE SĄ?»

## – JACEK MARIA ORLIK

### ZAPOMNIANY POETA I PROZAIK KOSTOPOLSZCZYZNY



Jacek Maria Orlik (z lewej strony, oznaczony cyfrą 2) i rzeźbiarz Marian Kuriata, pracownia rzeźbiarska w Janowej Dolinie.

Zdjęcie z wywiadu: M. Orlik, „W pracowni Mariana Kuriaty”, „Wołyń” 1937, nr 36 s. 5.

„Las, wysokopienny las poleski, szumi na równinach, pełnych czaru i melancholii smutnej, zawsze zadumanej, zawsze wsłuchanej w siebie krainy. Niewesoło brzmi tu piosenka człowieka, od wieków walczącego z przyrodą o byt, o kęs chleba, szyte z tyka łapcie i sukmanę na grzbiec” [1]. Tak prezentowano w 1937 w „Wołyniu” gminę bereżeńską północno-wschodniego kąta powiatu kostopolskiego na wschodnim pograniczu Wołynia i Polesia. Roman Janisławski z kolei pisał o „plóciennych, szarych twarzach dzieci” poleskich z Niemowicz, których wyłącz-

nym pożywieniem były ziemniaki, bo chleba w większości domów starczało do Bożego Narodzenia, tylko w 30% domów do Wielkanocy, w 20% – do żniw, „a mleko od święta” [2].

Jacek Maria Orlik miał w chwili wybuchu wojny 29 lat [3]. Szkiejąc portret tego twórcy z powiatu kostopolskiego, mam przed oczami różnorodność form jego wypowiedzi, ambiwalencję poruszeń wyobraźni i serca, wysięk woli i owe warunki życia na Polesiu. Poeta, jak nikt może z jego współczesnych współczujący doli chłopca poleskiego, jest autorem wierszy, których motywy mogłyby posłużyć jako sztafaż filmu dokumentalnego a jednocześnie prozaikiem, pejsażystą o wrażliwości liryka. Reportażysta mówiący z centrum wytężonej pracy Państwowych Kamieniołomów Janowej Doliny jest zarazem rejestratorem ciszy i smętku, i zatrzymanego trwania. Felietonista „Żołnierza Polskiego” zaangażowany w budowanie prężnego ducha żołnierskiego to też nowelista piszący o ludziach o gołęmb sercu. Sięgający po groteskę w gorzkim odczuciu tragizmu życia to również – i nade wszystko – autor zadomowiony w tygodniku diecezjalnym. Przy tym wszystkim był na Wołyniu, mam wrażenie, poetą „osobnym”, może osamotnionym. W 1936 r. napisało o nim trzech literatów: jeden poeta [4], dwaj krytycy [5]. Po wojnie nikt o nim nie wspominał.

Orlik jest autorem 24 wierszy opublikowanych w prasie: przede wszystkim w „Życiu Katolickim” (w latach 1936-1939; 19 utworów), a także w „Żołnierzu Polskim” (1936-1937 – 5; „Modlitwę Oracza” zamieścił w obu pismach) oraz 23 wierszy tomiku „Nad Polesiem ci-sza” z 1936 r., opatrzonego adresem Janowej Doliny (drukarnia Zingera w Kostopolu). Dwa wiersze z tego tomiku powtórzył w tygodniku diecezjalnym. Zadebiutował w 1932 r. artykułem „Nieznany wiersz Kasprowicza” w drobnym piśmie krakowskim „Rola: ilustrowany bezpartyjny tygodnik ku pouczeniu i rozrywce” [6]. Jako „st. strzel. rezerwy” jest autorem kilkunastu żywo i barwnie napisanych artykułów na temat życia i służby żołnierskiej, które opublikował w l. 1935-1938 w „Żołnierzu Polskim”, ciekawym piśmie o korzeniach i frontowych, i literackich [7], z racji osób kolejnych redaktorów. Pisał w „Głosie Robotnika” wydawanym w Janowej Dolinie przez Organizację Związków Zawodowych [8]. Znalazłam tam co prawda jeden tekst, ale myślę, że było ich znacznie więcej, niestety z powodu niedostępności roczników pisma nie potrafię tego potwierdzić.

Podobnie jak z „Życiem Katolickim”, w którym umieszczał obok wierszy swoje nowele, tak ze środowiskiem kulturalno-oświatowym Janowej Doliny był bliżej związany. Świadczy o tym patronat wydawniczy nad tomikiem wierszy, nie dziwny zresztą, skoro obok pisma, biblioteki, czytelnia, świetnej sali kinowo-teatralnej w Domu Zbiorowym, istniała tam pracownia rzeźbiarska z prawdziwego zdarzenia, a opiekę duszpasterską sprawował ks. Franciszek Pluta [9], kapłan, którego cechował dynamizm organizacyjny i społeczny. Świadczą też trzy inne jego teksty. W „Wołyniu” bowiem opublikował ciekawy reportaż, świadczący o znajomości „od środka” przedmiotu: „Skalna kra-

ina nad cichą rzeką (reportaż z kamieniołomów bazaltu w Janowej Dolinie)” [10] adresowany z Janowej Doliny. Tamże rok później wywiad z rzeźbiarzem z Janowej Doliny, „W pracowni Mariana Kuriaty” [11], w „Żołnierzu Polskim” zaś artykuł o powiecie kostopolskim „Potężny warsztat pracy” [12], w którym omawia środowisko janowodolińskie. Jeśli w ogóle znał miejsce powstania wiersza albo prozy, to od sierpnia 1936 r. wpisywał naprzemiennie Janową Dolinę albo Kostopol, (oddalony od niej 19 km, 40 min. jazdy koleją), z przewagą tej pierwszej. Jedynie wiosną 1936 r. wysłał do „Żołnierza Polskiego” dwa razy teksty adresowane z Mokwina, z tego samego powiatu.

Plany wydawnicze miał szerokie: na drugiej stronie okładki „Nad Polesiem ci-sza” zapowiedział wydanie następujących utworów: „Mgła nad sercem. Poezje; Godziny z Tobą. Poezje; Serce mężczyzny. Nowele; Grzech Ewy. Powieść; Kostopolszczyzna. Reportaże literackie; Teka prowincjonalnego felietonisty. Felietony”. Nowele ukazywały się w „Życiu Katolickim”; intrygują zapowiedziane reportaże literackie i felietony, niektóre być może publikowane w „Głosie Robotnika”? Ostrożnie można przypuścić, że chyba wydawniczo pozostały niezrealizowane. Ostrożnie, bowiem w „Życiu Katolickim” w czerwcu 1938 r. ukazały się trzy wiersze wraz z informacją, że pochodzą z nowego tomiku Orlika „Krajobrazy Polesia”, „który ukaże się na półkach księgarskich w najbliższym czasie” [13]. Ten tomik mógł więc zostać wydany, choć z drugiej strony, zastanawia brak śladu recenzji.

W „Kurierze Literacko-Naukowym” w 1933 r. zaistniał nastrojowo-realistycznym reportażem z obozu harcerskiego „W blasku ognia...”, wydanym potem powtórnie nakładem własnym i wydrukowanym w Nowym Sączu [14]. O harcerzach traktuje wiersz z 1936 „Powrót z obozu”.



Krótką drogą poetycka zakończona wybuchem wojny, kiedy urywa się ślad życia poety, posiada ciekawą linię rozwoju. Biegnie ona od wierszy niemal pozbawionych poetyckiego oddechu, surowych w swoim naturalistycznym obrazowaniu, a przy tym czasem językowo niezbyt zgrabnie dociąganych do wymogów rytmu i rymu. Poruszają wiersze z ostatniego okresu; ton uciszenia wewnętrznego, serdecznego, czulego przygarnięcia niezmiernie trudnej ziemi, i trudnego losu człowieka. Ma on swój ciężar, i jeśli chodzi o wewnętrzną postawę autora, i kształt poetycki. Ten nowy ton wyraził się w przemianie wiersza, czyli zwolnieniu rygorów wersyfikacyjnych, prostocie i jednocześnie walorze poetyckości. To śpiew nad „*brudami ziemskimi*” i „*wirem życia*”, jak określiliby może ks. Zygmunt Chmielnicki, redaktor gazety, w której Orlik umieszczał swoje wiersze [15].

„*Brudami ziemskimi*” bowiem, rozumianymi jako postawa życiowego realizmu, w opozycji do sztucznego upiększania i wznoszenia się do „*obłoków*”, napełniona jest poezja autora „*Polesia*”. Nie stanowią one jej horyzontu ideowego, ale świadczą o prawdziwie przeżywaniu. To świadectwo osobistego, niełatwego chyba mierzenia się z samotnością, skrajną biedą, pustką, udręką przeżywania życia w swoistym poleskim bez-czasie, zatrzymaniu, pozbawieniu nadziei na życiową zmianę.

*„Listu z dalekich stron nie optaci  
/się czekać.*

*Gazeta nie trafi do nas.  
Za bezkresny jest poleski las!  
Miasta rzadko i tak daleko!  
za labiryntem wywróconych pni.  
Dróg nie ma,  
jeździ się rzeką,  
bezczasem nigdy nieliczonych dni”.*

(„*Polesie*”)

Droga poetyckiego dojrzewania prowadzi przez szukanie języka, który „*oddałby sprawiedliwość*” portretowanej rzeczywistości i uniósł trudne doświadczenia egzystencjalne.

To obraz czasu zatrzymanego i dławiącego. W cytowanym wierszu dedykowanym innemu poecie z Polesia Wołyńskiego, Stefanowi Bardczakowi [16], podaje składowe owego trudnego istnienia:

*„Serce tyka tęsknotą —  
— smętkiem myśli mózg —  
— płuca wdychają pustkę  
dzień po dniu.*

*Świat martwy, jak cmentarz za wsią”.*

W „*Babim lecie*” zamieszczonym w tygodniku diecezjalnym w 1938 r. zachwyty nad piękną jesienią sąsiaduje z opisem umierania.

*„Komuś niezdobytym światem  
sanatoria z gór, oszklone suto werandy.  
... Daleko jesienią, nie latem  
na posłaniu z wiór  
suchotnicza bagienna  
śmierć”.*

Dwubiegunowy opis prowadzi do wyznania:

*„A w porębach liliowe wrzosa,  
... a w leśnictwach rdzewiejące  
/drzewa...*

*katorgą serca,  
smutkiem nadbagiennym,  
trzeba wiersze o Polesiu śpiewać!..”*

Czyje to doświadczenia? Egzystencjalny temat wiąże w jedno przeżycia bohaterów wierszy i samego poety (i dlatego też trudno odgadnąć miejsce, z którego właściwie Orlik mówi, jego „*status społeczny*”). Poeta jest wrażliwy na krzywdę społeczną, ale problem tej poezji jest problemem egzystencjalnym. W jednym z tekstów zauważa, że trud istnienia jest doświadczeniem powszechnym, wyjeżdżać więc właściwie nie ma dokąd i po co.

Ale ta sama przestrzeń trudnego bytowania wywołuje zachwyty. „*Ty przeci-*





chy, zasepiony mój poleski lesie”, mówi w „Lesie poleskim”. Warto zwrócić uwagę na te bardzo subtelne, liryczne wyznania. To bardzo szczególne połączenie przeżywania ciężaru życia na Polesiu, uginania się pod nim: „będę spożywać dzień po dniu, jak chleb powszedni, / którego brak na Polesiu” [...] „głód żołądka zaspokajać cicho / słońcem nad bagnami” – z czułością.

„Na słomianych dachach tęsknica się wygrzewa

w słońcu, które świeci tylko kiedy  
/niekiedy —

w zapachu żurawin, wrzosów, bagna,  
i biedy,

i drzewa,

Polesie — ziemia obiecana mej duszy,  
smętkiem, jak piaskiem, oczy mi co  
dzień prószy  
i śpiewa”.

(„Polesie”)

Piękne są owe poleskie krajobrazy o różnych porach roku, bezkresne przestrzenie, dotknięte pracą rolnika albo niemal dziewicze, strzechy domów przytulonych do skrajów lasów, mszary, snujące się mgły, skrzywienie wozów, „drzewna muzyka” studziennych żurawi. Poeta opowiada o drodze znaczonej śladem chłopskich sanek, która niknie w lesie, a „potem dzień wolno się przewali / w zachód lśniący czerwienią na lodach Prypeci”. Przyroda „Krajobrazu poleskiego” (1939) łągodzi ciężar istnienia.

„Tęsknota cię gryzie?

Pustka cię zabija?

Gdzież na świecie ich nie ma?

(Pustka jest niczyja.)

Patrz: księżyc wschodzi ponad czuby  
/sosen,

a pod wodami i lasem  
drzemie ziemia...”

Zachwyt nad przyrodą, towarzyszką życia na Polesiu, obecny jest też w prozie – zapadają w serce liryczne opisy zmie-

nających się pór roku w podzielonym na części reportaży poetyckim „Tam, gdzie tak cicho”, którym Autor poprzedził wiersze wspomnianego tomiku: „Dawniej...”, „Dziś...”, „Wiosna poleska...”, „Smutek tych stron...”, „Piękno jest nieśmiertelne”. Nie są to sielanki. Nie traci z oczu świadomości tego, że przyroda poleska nie przynosi owocu, a przeciwnie, jest przyczyną nędznej roślinności; wydobywa jednak z niej tony piękna. Oto np. obraz jesieni: „I znowu zalega ten dziwny kraj cisza głęboka, bezdenna. Odlatują ptaki... Chłodnieje zamyślane słońce... Tylko po lasach zaczynają dymić ogniska i poczynają stukać ostre siekiery drwali rąbających starodrzew [...] Drzemią poczerwione latami słomiane dachy chat... A w tych chatkach życie, beznadziejnie szare, rozłożone między zupełnie szczawiową a niesłone «kartoski», zatroskane nad postrzępionymi po tygodniowym użyciu łapciami z lipowego lyka... Tu jeśli ktoś umiera, nikt się nie dziwi... Tu, jeśli ktoś się rodzi, ludzie kiwają głowami: po co? Na tę biedę! ...I tak płynie to życie w dal śmierci, zawsze jednakowo szaro, blade co dzień”. O ciszy: „Tu ludzie nie śmieją się wcale albo bardzo rzadko... Tu, gdzie ucha nastawisz, cisza, gdzie okiem spojrzysz, las i woda... i pustka... [...] Wiszą nad nim mętne mgły nieznania. Lasy, woda i niebo podały sobie ręce i milczą tajemnicą twardą [...] Polesie woła ciszą i głuszą martwą śpiewa”.

Ton goryczy i sarkazmu obecny jest we wcześniejszych wierszach podejmujących temat pracy. Są one zbrojne w sty-



lizacje, sięgają po trawestację. Obraz wprężenia w zniewalającą pracę ponad siły, albo pracę niemal bezowocną z racji nieurodzajności piaszczystej gleby poleskiej („*Żniwa*”, 1936 r.) wyraża sens samej pracy, nawet w odniesieniu do służby Rzeczypospolitej (to zresztą wątek zaskakujący u wołyńskiego i „*żołnierskiego*” poety!). Przewrotnie brzmi głos z kopalni:

„*Choć nikt nas pod ziemią nie widzi,  
/nie słyszy,*

*Jak co dzień się piersią wcinamy*

*/w czerni skały —*

*Tysiąc fabryk Polski nami co dzień*

*/dyszy —*

*Mozół naszych ramion, pieśń*

*/dla Polski chwały!*

*...Tam gdzieś Gdynia na płód naszych*

*/dłoni czeka*

*Dalej do kopalni! Czas prędko*

*/ucieka”.*

(„*Górnicy*”, 1936)

Żniwiarze polescy wtórują tonem równie gorzkim:

„*Chlebem zrodzonym w udręce,*

*z jałowych naszych skib,*

*żyć będziem w niebnej podzięce*

*Dla wiecznie rodných niw”.*

(„*Żniwa*”)

Sarkastycznie brzmi koniec opisu przygotowań do nowej siejby w wierszu „*Wiosna*” z tomu „*Nad Polesiem cisza*”: „*Ale to nic! Nie ciężko, przecież! Będziem orać piasek*” oraz przewrotna „*Modlitwa Oracza*”, która jest trawestacją stylistyki hymnu, rodzajem konradowskiej anty-modlitwy. Udręka pracy jest też dominującym motywem w wierszach „*Klesów*” z tomu „*Nad Polesiem cisza*” i „*Janowa Dolina*”, choć ten ostatni wiersz pozbawiony jest tak ostrej negacji. Gdy się jednak pamięta o reportażach z Janowej Doliny, opisujących organizację pracy Państwowych Kamieniołomów Bazaltu i pełnych podziwu dla trudu górników, można

zastanawiać się, na ile owe obrazy wynikają z prawdy przeżycia, a na ile ze spojrzenia podyktowanego przez wzory literackie, kasprowicowskie nuty buntu z „*Hymnów*” [17] i „*Wielką Improwizację*”.

Trudno jednak stawiać pytanie o autentyczność przeżycia wierszom opisującym poleską wieś! Jest ona głównym tematem większości utworów. Są wśród nich wiersze, które moglibyśmy określić jako naturalistyczne (z l. 1936-1937), są wiersze ukształtowane na wzór pieśni ludowej i poezje liryczne pisane wierszem wolnym (głównie z l. 1938-1939). Wśród tych ostatnich trzeba wymienić piękne, pełne dyskretnej czułości „*Poźniwie*”, „*Krajobraz poleski*”, „*Polesie nocą*”, „*Strofy luźne*” i „*Gdy skrzypią studzienne żurawie*”. Wszystkie te późne wiersze drukował autor w „*Życiu Katolickim*”. Tematyka wiejska w naturalny sposób przenika właściwie wszystkie wiersze krajobrazowe. Nawet las, który „*ma w sobie milczenie — / Wielką białą ciszę...*”, znajduje swoje „*osobowe*” odniesienie do egzystencji chłopa poleskiego:

„*Las ma w sobie zadumę —*

*Ma szept pelen trwogi...*

*Las ma deski na trumnę*

*I dębowe progi”.*

(„*Las*” z tomu „*Nad Polesiem cisza*”)

Toniczny rytm jest charakterystyczny dla wierszy nawiązujących rytmiką do poezji ludowej, a obrazowaniem do scen utrwalonych w tradycyjnej ikonografii polskiej. Widział w tym słabość Czerwik („*Sielankowe szablony, coś z Konopnickiej, coś z Lenartowicza, trochę sentymentalizmu i smętku*”)[18]. Dla dzisiejszego czytelnika, szukającego niejako śladów „*domu*” we własnej kulturze, mogłyby jednak stać się te strofy na nowo cennym odkryciem! Takie są wiersze z 1936 r.: „*Pogrzeb chłopa*”, „*Akwarela*” (z tomu „*Nad Polesiem cisza*”) i „*Listopad*” z „*Ży-*

cia Katolickiego”. Ten ostatni utwór o tematyce patriotycznej sięga do rycerskiego, rodzinnego niejako kręgu wyobraźni:

„...*Tam w cichej izbie pod obrazem*  
/Panny,

*Polska się modli, załamuje ręce...*

*A w pustym polu kona krwawo ranny*

*Huf... bór wołyński szumi jego męce”.*

„Pogrzeb chłopca” jest jednocześnie przykładem oddania sprawiedliwości temu, którego bronią za życia stała się jego twardość:

„*Gdy go powiozą przez pola,*  
*Pustka za trumną nich idzie;*  
*Macochą mu była dola,*  
*Macochą niechaj śmierć będzie;*

*Nikogo o nic nie błaga,*  
*O płacz, o smutek nie prosi:*  
*Wszystkie żalości to błaga,*  
*Łzę nie trza trumny mu rosić”.*

Tylko przyroda zostaje wezwana do okazania samotnego żalu: „*Niech zadrzą warkocze brzożom; / Niech się niebo zbłękitni niebiesko...*”.

Werystycznie ukształtowane wiersze przynoszą z kolei szereg szczegółów ciekawych dla dzisiejszego czytelnika, a przecież wówczas żałośnie prawdziwych. Zagłębimy do wnętrza chaty:

„*W izbie sino od ostrego dymu gryzącej*  
/oczy machorki.  
...*Podobnie do omglonego poranka*  
/jesienią nad mszarem.  
*Ostry zapach kapusty. Mdło pachną*  
/przypalone kartoszki.  
*Dni codziennie te same, lata jak*  
/życie szare!

*Oczy wlepione w żelazne garnki,*  
/odymione sadzą,  
*Pachnące dla nas, jak bajka...*  
/zapachem pierogów i ryby”.

(„*W poleskiej chacie*”,  
z tomu „*Nad Polesiem cisza*”)

Lub bardziej poetycko, choć nie mniej naturalistycznie:

„*Szkapy często zdychają w zimnych*  
/szopach.

*Ludzie rozpięli swe życie pomiędzy*  
*borówki — grzyby i szczaw.*

*Na szmatami zatkanych okienkach*  
/smutek płacze,  
*wtopiony w przedługie minuty ciszy”.*  
(„*Polesie*”)

Klimat lęku towarzyszącego samotności przynosi „*Polesie nocą*” (1939 r.)

„*Gdzieś w gajówce wyje pies.*  
*Ktoś w chatach pod lasem z trwogą*  
/go słucha.

[...]  
*Na plebanii i u nauczyciela radio,*  
*zamknięte w cztery głuche ściany,*  
*nieświeżość ze świata.*  
*W chatach na świat daleki krata.*  
*Nie wiemy, co na świecie się dzieje.*  
*Strach w sitowiacz szycerco się*  
/śmieje.

*Wilki wyją po uroczyskach”.*

Osobne miejsce zajmują opisy miasteczek: Utwory przynoszą portrety (według kolejności druku utworów) Mokwina, Klesowa, Pińska, Stepania, Janowej Doliny, Kazimierki i nieznanego z nazwy „*zapadłego miasteczka*” z wiersza o tym tytule. Warto zapamiętać zwłaszcza „*Pińsk*” („*Pińsk — port rzek samotnych. Pińsk to marsz na boso / W biedę kurnych chat. Miasto u kresów świata*”) – i „*Kazimierkę*”.

To, co wiemy z ułamkowych informacji prasowych i wspomnianych dwóch artykułów krytyczno-literackich z 1936 r, rodzi dalsze pytania. Urodzony w 1910 r., (więc tylko o rok starszy od Czesława Janczarskiego), debiutował w 1932 r. wspomnianym artykułem o nieznanym wierszu Kasprowicza w krakowskiej „*Roli*”. Ten krótki tekst świadczy, że w każdym razie miejska topografia Lwowa nie była mu

obca. Musiał też zapoznać się z „Jednościówką akademicką. Czarne na białym”, wydaną we Lwowie rok wcześniej, w której znajdował się pierwodruk owego zapomnianego wiersza [19]. Czy we Lwowie się uczył? Czyżby studiował? Wydaje się to mało prawdopodobne, bo czy odbywałby potem służbę wojskową jako zwykły szeregowiec? No i czy jako absolwent uniwersytetu popełniałby jednak błędy w mowie wiązanej? W 1935 r., kiedy zaczął pisać do „Żołnierza Polskiego”, był starszym strzelcem rezerwy. Ryszard Adamczyc i Czesław Janczarski piszą o nim jako o poecie z kostopolszczyzny. Jednak z całą pewnością ów debiut oraz już pierwsze artykuły z „Żołnierza Polskiego” świadczą o ponadprzeciętnej znajomości literatury współczesnej i znajomości warsztatu pisarskiego. Gdzie się uczył? Chyba nie był nauczycielem, brak na ten temat jakiegokolwiek wzmianki. „*Wies mnie wydała na świat*”, pisał co prawda w wierszu „*Serce dla wsi*” dedykowanym pamięci Matki, zaś redaktor „Okolicy Poetów”, ze swojego wielkopolskiego oddalenia zakwalifikował tomik do twórczości poetów wiejskich sprzed okresu Czuchnowskiego. Ale nie był chyba pochodzenia chłopskiego, jak choćby trochę młodszy Władysław Mielczarek. Może była to jedna z owych zbiegniętych rodzin wywodzących się z dawnej szlachty zaściankowej? Harmonijne zestawienie imion i nazwiska świadczy chyba o większej wrażliwości językowej jego rodziców. Julian Nieć, pisząc w „*Wołyniu*” o hetmanie kozackim Filipie Orliku (1672-1742), następcy Mazepy pochodzącym z Białej Rusi, wywodzi nazwisko z czeskiej szlachty pieczętującej się herbem „Nowina”, osiadłej na Śląsku.

Nie był związany z żadną grupą poetycką. Może to trochę dziwić, zwłaszcza, że sąsiadował na szpaltach „*Życia Kato-*

lickiego” z poetami Grupy Literackiej „*Wołyń*”. Może zaważyło to, że w 1936 r. był już żonaty, ustatkowany? Tomik dedykował ukochanej żonie Geni, a 9 września 1937 r. urodziła się córeczka Wiesia, której dedykował wiersz „*Bobo*”. A może właśnie szczególna wrażliwość na wymiar egzystencjalny, która kazała sięgać do innej, raczej kasprowiczowskiej, dopiero co minionej tradycji? A może to, że pod koniec 1935 r., kiedy powstawał manifest grupy „*Wołyń*”, był zaangażowany w pisanie do „*Żołnierza Polskiego*” i zapewne do „*Głosu Robotnika*”? A może czuł swoje rzeczywiste, początkowe niedomagania warsztatowe, widział nieudane wiersze – i pozostał „*osobny*”.

„*Czymże te szare me słowa?*

[...]

*Księża ma przejdzie bez echa*

*Na półkach księgarń spleśnieje*”.

(„*Ja*”, z tomu „*Nad Polesiem cisza*”)

A może ów dystans powodował charakter powiatu, w którym mieszkał. Ryszard Adamczyc widzi przyczynę, jak określa, smutku poezji Orlika w odmiennym charakterze tej krainy, w jej krajobrazie, usposobieniu ludzi i pieśniach: „*Pieśń południa wołyńskiego jest ogromnie wesoła, nieraz rytmem do krakowiaczka się zbliżająca, pieśń Polesia jest powolna, smutna, zawodząca. Cóż w tym dziwnego, że poeta tych stron, Kostopolszczyzny, jest poetą smutku*” [20]. Pisze: „*Jeśli smutek szarpie dusze Orlika to dlatego, że pochodzi on ze stron zbliżonych do Polesia i smutnych. Inni poeci pochodzą z Wołynia*” [21]. Ujmującym przyczynkiem do owego poczucia osobności jest może od ręczna dedykacja, którą poeta umieścił na stronie tytułowej egzemplarza „*Nad Polesiem cisza*” przesłanego twórcy „*Koziółka-Matołka*”: „*Kochanemu Autorowi słonecznych księzek Panu Kornelowi Makuszyńskiemu kartki smętku z pole-*

skich stron przesyła Jacek Maria Orlik”, opatrzona datą: 7 VIII 1937 [22]. Czesław Janczarski, omawiając w Bożonarodzeniowym numerze „Życia Katolickiego” z 1936 r. życie poetyckie na Wołyniu zyczliwie pisze: Zapotrzebowaniom miejscowym odpowiadają wiersze i nowele p. Jacka Marii Orlika. Niestety nie znam debiutu książkowego tego sympatycznego poety. Wydał Orlik w tym roku tomik wierszy pod bardzo ładnym tytułem: „Nad Polesiem cisza”. 18 kwietnia 1936 r. Orlik wziął udział w pierwszym zjeździe młodych poetów wołyńskich [23]. Zjazd odbył się w siedzibie redakcji „Wołynia”. Nie przyniósł co prawda żadnych efektów w postaci koordynacji działań, nad czym ubolewał w „Życiu Katolickim” Janczarski, ale pozostało po nim zdjęcie. Orlik siedzi drugi z lewej strony, w tym samym rzędzie ks. Zygmunt Chmielnicki, redaktor „Życia Katolickiego”, jedyny kapłan wśród poetów, patron niejako twórczości wielu z nich, obdarzony sam świetnym talentem literackim.

Miejsce wyjątkowe zajmują artykuły w „Żołnierzu Polskim”. Barwne obrazki, pełne realistycznych szczegółów z życia żołnierskiego i pełnionej służby. „Nie rozmawiaj o wojsku”, „Bezwstydne słowa”, „Karabin a żołnierz”, „Kuferek”, „Listy z koszar”, „Warta”, „Alarm”, „Wieczór wigilijny w koszarach” i wiele innych. Orlik sugestywnie opisuje proces przedzierzgnięcia się młodego chłopaka, najczęściej ze wsi, w żołnierza polskiego, stojącego na straży niepodległości. Czuje się w tych tekstach żołnierskich dydaktyzm szlachetnej próby. Autor prowadzi narrację z bliskiej perspektywy, pisze: „Wiecie dobrze, że...”, „Kochani żołnierze!”, współodczuwa, ale prowadzi konsekwentnie „ku gorze”, ku twardym cnotom żołnierza, który wie, po co trzyma karabin. Ten

proces wewnętrznej przemiany pokazany bywa na przykładzie przemiany stosunku do rzeczy. Prześledziwszy np. dzieje żołnierskiego kuferka autor „stawia go” z powrotem w rodzinnym domu żołnierza: „W domu zajmuje miejsce gdzieś pod ławą i znowu kryje w swym wnętrzu wszystko to, co jest całym naszym majątkiem, co jest nam najdroższe. Ilekroć wzrok padnie na ten mały, malowany na zielono, czarno, czerwono, czy nawet biało grat — przypominają nam się miesiące, tygodnie i godziny, spędzone tam, za murami koszar. I kuferka nie odsprzedalibyśmy, nie oddalilibyśmy, za nic! Boć on jeden wie wszystko, co my wiemy, on jeden z domu dzielił z nami dolę i niedolę żołnierskiego życia... On jeden z domu, z rodziny i z ludzi widział nasze smutne, czy radosne oczy” [24]. O manewrach, w trakcie których żołnierz zapomina „o wszystkim, o wszystkim [...] Na manewrach żołnierz zrasta się z karabinem, z tornistrem, łopatką, maską przeciwgazową, z całym swoim oporządzeniem. To, co dotąd ciążyło, dokuczowało, zawadzało, teraz staje się nieodłączną częścią życia, programem, treścią, osnową, która musi wypełniać każdy zdawałoby się szary, a tak bardzo barwny, tak kolorowy dzień manewrów. Jakoś tak nagle oto dziwnie przylegamy do manewrów i ich treści, jakby to zgoła nie był żaden trud, żaden wysiłek fizyczny, a przecież ileż czasu samozaparcia się wymagają od żołnierza, ile poświęcenia i nawet męki [...] A kiedy po trudach wojowania przybędziesz na słusznie ci się należący odpoczynek nocny do jakiejś wioski, kiedy usiądziesz gdzieś na progu stoły (»z kominów chat dym się snuje wicherzy, a wieś pachnie słomą i jabłkami, a gościńcem przez wieś biegnie w świat tęsknota nieprzeparta...») i po oczyszczeniu i oporządzeniu zamyślisz się, lub pošlesz tęskniącą duszę swą aż hen, tam gdzieś do



tak samo w zmięczeniu lata tonącej wioski rodzinnej, albo rodzinnego miasta, Polska nachyla się nad tobą i gładzi cię po ogołonej lepetynie...[...] To, co teraz umiesz i potrafisz, wtedy Rzeczypospolitej się przyda tak bardzo, jak woda rybnie się przydaje, albo słońce roślinom. Pamiętaj więc i myśl często o... nabojach ostrych!" [25] Pisze emocjonalnie: „Psiakrew, w chałupie choć alarmu nie zrobią! Ale, w gruncie rzeczy, żal i tego... alarmu. Bo choć przykro było wstawać z zagranej pościeli, ale potem wspomnieniaśmy mieli! Psiakrew, niech żyje alarm! Alarm — choćby co drugą noc!" [26] Kiedy indziej zaś zawstydzają żołnierzy i karcą za używanie brzydkich słów, „często w towarzystwie spalających się ze wstydu dziewcząt. To takie przykre, przygnębiające, że wprost słów mi brak!" [27] Do literatury należą te teksty przez owo spojrzenie poety i „komentatora człowieka”, pełne ciepła i kultury ducha. Przez bohaterów i sposób opowiadania zdają się przywoływać miniony, ale utrwalony w powieści Floriana Czarnyszewicza świat „Nadberezyńców”.

Bohater nowel jest człowiekiem o czystym sercu. Nierozumiany przez otoczenie, w zmaganiu z przeciwnościami ponosi klęskę. Pojawia się czasem nie wiadomo skąd, ale zawsze obdarzony jest doskonałością serca i ponadprzeciętną wrażliwością, co jednak czyni go postacią odrealnioną. Takim jest np. Broniek Nędza, który z małego ubogiego marzyciela ze wsi, zbieracza kolorowych szkiełek, staje się bohaterskim pułkownikiem Wojska Polskiego, malarzem kwiatów, by w końcu zrezygnować z ziemskich zaszczytów i wrócić w świat dziecięcych marzeń („Ścieżki Bronka Nędzy”). Bohaterem „Strzaskanej bałajki” i „Gdy będziesz poetą...” jest artysta pozbawiony możliwości tworzenia. Część nowelek przeznaczona jest raczej dla młodszego czy-

telnika. Może najlepszą jest „Dzwonnik Białej Wsi” Jej bohater, niegdyś tajemniczy przybysz, życzliwy wszystkim kowal, później inwalida wojenny, anonimowy fundator dzwonów, „miał białą jak śnieg duszę”.

Wszystkie nowelki drukowane były w 1936 r. w tygodniku diecezjalnym. Owszem, można im zarzucić schematyzm, brak realizmu, psychologicznego pogłębienia, „baśniowość”. Obciążone tymi brakami wypowiadają jednak emocje i liryczne marzenia autora. Chyba to właśnie – owo dobre serce ich bohatera – wzruszało czytelnika i wskazywało mu „dobry kierunek”, ku górze.

**Maria Kalas**

Przypisy:

- [1] „Gmina lasów, rzek” [bez podpisu], „Wołyń” 1937, nr 2, s. 6.
- [2] R. J. [R. Janisławski], „Jest na Polesiu wieś Niemowicze”, „Wołyń” 1936, nr 29, s. 5.
- [3] Informacja o roku urodzenia Orlika, za: Bibliografia Literackiej Zawartości Czasopism Polskich XIX i XX wieku, <https://ibl.waw.pl/pl/nauka-i-badania/bazy-danych>; data śmierci niewiadoma.
- [4] Cz. Janczarski, „Ruch poetycki na Wołyniu”, „Życie Katolickie”, 1936, nr 51, s. 806.
- [5] R. Adamczyc, „Wołyń i Polesie w liroyce Wołyniaków”, „Głos Nauczycielstwa Wołyńskiego” 1936, nr 2, s. 22-25, nr 3, s. 39-43, nr 4, s. 53-56, S. Czernik, „Recenzja. Jacek Maria Orlik. Nad Polesiem cięsza. Poezje. Janowa Dolina 1936, s. 32, 2 nł”, „Okolice Poetów” 1936, nr 11, s. 23.
- [6] J. M. Orlik, „Nieznany wiersz Kasprowicza”, „Rola: ilustrowany bezpartyjny tygodnik ku poczeniu i rozrywce” 1932, nr 46, s. 15-16.

[7] Pierwszym redaktorem „Żołnierza Polskiego” założonego w 1919 w Warszawie był Julian Kaden-Bandrowski, dyr. Biura Prasowego Naczelnego Dowództwa, Biblioteki „Żołnierza Polskiego” – Kazimierz Wierzyński, od 1921 do 1925 Artur Oppman; na temat literackich związków tygodnika, zob. W. Wencel, „Wierzyński. Sens ponad klasę”, Kraków 2020, s. 70.

[8] „Głos Robotnika Janowa Dolina” pod red. Jana Czerniaka, Janowa Dolina (1934-1939).

[9] Ks. Franciszek Pluta (1905-1990), proboszcz w Janowej Dolinie, w której 4 grudnia 1938 r. zorganizował Dzień Katolicki z udziałem bł. ks. Władysława Bukowińskiego. Aresztowany w 1939 r., skazany na śmierć z zamianą na 15 lat łagrów, wyszedł z ZSRR wraz z armią Andersa; organizator pomocy dla polskich dzieci ocalonych z Rosji, uczestniczył w przewiezieniu ich do USA, Kanady i Wielkiej Brytanii. Opiekun Polonii kanadyjskiej, od 1980 r. Delegat Rządu RP na Uchodźstwie na Kanadę.

[10] J. M. Orlik, „Skalna kraina nad cichą rzeką (reportaż z kamieniołomów bazaltu w Janowej Dolinie)”, „Wołyń” 1936, nr 39, s. 4-5.

[11] M. Orlik, „W pracowni Mariana Kuriaty”, „Wołyń” 1937, nr 36 s. 5, tamże zdjęcie autora.

[12] J. M. Orlik, „Potężny warsztat pracy”, „Żołnierz Polski” 1938 nr 25, s. 602-603.

[13] J. M. Orlik, „Pińsk”, „Stepań”, „Za wodą...” [wiersze], „Życie Katolickie” 1938, nr 24, s. 376.

[14] J. M. Orlik, „W blasku ognia... Reportaż z obozu harcerskiego”. Nadbitka z „Kuriera Literacko-Naukowego” z 14 sierpnia 1933, Drukarnia „Express” Nowy Sącz [1933?].

[15] Ks. Z. Chmielnicki, „Z obłoków na

ziemię”, „Życie Katolickie” 1936, nr 27.

[16] Stefan Bardczak dedykował Orlikowi z kolei wiersz „Pragnienie”, zob. S. Bardczak, „Wołyń bogaty”, wstęp M. Kallas, Biały Dunajec-Ostróg, 2019, s. 40.

[17] Zob. J. Kasprówicz „Dzieła”, t. 1-22 pod red. Stefana Kołaczkowskiego, Kraków 1930. W latach trzydziestych ukazały się najważniejsze pozycje związane z autorem „Hymnów”.

[18] S. Czernik, Recenzja..., s. 23.

[19] [W. Pańczak] „Nieznany anakreontyk Kasprówicza”, „Jednodniówka akademicka. Czarne na białym”. Lwów 1931, s. 14., za: „Retrospektywna Bibliografia...”

[20] R. Adamczyc, „Wołyń...”, nr 3, s. 42-43.

[21] R. Adamczyc, „Wołyń...”, nr 4, s. 55.

[22] Egzemplarz ten znajduje się w zbiorach Biblioteki Narodowej w Warszawie.

[23] „Zjazd młodych literatów wołyńskich”, „Wołyń” 1936, nr 17, s. 5.

[24] J. M. Orlik, „Kuferek”, „Żołnierz Polski” 1936, nr 7 s. 32.

[25] J. M. Orlik, „Manewry”, „Żołnierz Polski” 1938, nr 26, s. 621.

[26] J. M. Orlik, „Alarm”, „Żołnierz Polski” 1936 nr 19, s. 387.

[27] J. M. Orlik, „Bezwstydne słowa”, „Żołnierz Polski” 1935, nr 9 s. 168.



Julian Fałat, „Polesie”

Fot. Archiwum

Wśród książek - Серед книжок

## LUDOBÓJSTWO ZMANIPULOWANE

Ihor Iljuszyn i Mirosław Czech zrównują rzezie dokonane przez UPA na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej z akcjami AK i BCh w obronie ludności polskiej.

Niedawno [tekst napisany w 2009 roku – przyp. „WzW”] ukazała się książka „UPA i AK. konflikt w Zachodniej Ukrainie (1939-1945)” autorstwa Ihora Iljuszyna, wydana przez Związek Ukraińców w Polsce.

Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, której Ukraińska Armia Powstańcza była ramieniem zbrojnym, głosiła hasło: „Wyróżnić Lachów aż do siódmego pokolenia, nie wyłączając tych, którzy nie mówią już po polsku”. A w dyrektywie terytorialnego dowództwa UPA „Pawnicz” podpisanej przez „Kłyma Sawura” (Dmytro Klaczkiwskyj) czytamy: „Powinniśmy przeprowadzić wielką akcję likwidacji polskiego elementu. Przy odejściu wojsk niemieckich należy wykorzystać ten moment dla zlikwidowania całej ludności męskiej w wieku od 16 do 60 lat”. Mordowano jednakże nie tylko mężczyzn, ale kobiety i dzieci, a także starców. Oto tylko dwa przykłady: 30 sierpnia 1943 r. we wsi Wola Ostrowiecka zginęło 529 osób, w tym 220 dzieci w wieku do 14 lat, a we wsi Ostrówki zamordowano 438 osób, w tym 246 dzieci do lat 14. W Janowej Dolinie zginęło ogółem ok. 600 osób. W małej kolonii polskiej, gdzie się urodziłem, także mordowano wszystkich, którzy nie zdążyli uciec. Niektóre moje rówieśniczki WRZUCONO DO OGNIA, INNE DO STUDNI,

bo szkoda było naboju. Jedyne moją 80-letnią babkę, która jako krawcowa obszywała również okoliczną biedotę ukra-

ińską, potraktowano łagodniej, nie załując kuli.

Mordy na Kresach nie były okazjonalne, samorzutne, ale dobrze zorganizowane. Świadczy o tym m.in. fakt, iż jednego dnia, o świcie 11 lipca 1943 r., oddziały UPA, wsparte przez część miejscowej ludności ukraińskiej, otoczyły i zaatakowały ponad 100 bezbronnych wsi i osad polskich – a do 14 lipca liczba ta wzrosła do ponad 160 miejscowości. Dokonano tych masowych mordów jednocześnie w trzech powiatach. Na całych Kresach zamordowano ponad 120 tys. ludzi, tylko na samym Wołyniu ok. 60 tys.! I były to morderstwa okrutne; jak naliczyli badacze, stosowano 365 rodzajów tortur!

Ogromne zdziwienie budzi więc fakt, iż zarówno autor książki, Ihor Iljuszyn, jak i przedmowy, Mirosław Czech, dziwią się, że rząd polski nie uznał UPA za strukturę legalną! Czy oddziały, które dokonywały zbrodni ludobójstwa, można nazwać armią?

Na Wołyniu 27. Dywizja AK, obok walki z Niemcami, usiłowała chronić ludność polską, niestety powstała o wiele za późno, bo dopiero w 1944 roku. Zanotowano tylko 17 jej zbrojnych akcji przeciwko garnizonom przygotowującym się do napadu na polskie wsie. W przeciwieństwie do cytowanych wyżej dyrektyw dowódców UPA nawołujących do mordów, dowództwo AK potępiało jakikolwiek terror w stosunku do ludności ukraińskiej. Potwierdzają to dokumenty archiwalne.

W przedmowie do wspomnianej publikacji Mirosław Czech pisze, że autor książki: „Metody, jakimi posługiwali się oddziały partyzantki ukraińskiej oraz

uzbrojone w kosy i widły grupy chłopów – potępia”. Bo (tu cytuję on autora książki) „nic nie może usprawiedliwić śmierci dzieci, kobiet i starców”. I dalej pisze: „Podobnie osądza pacyfikację wsi ukraińskich, jakich dokonywały oddziały Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich”. Na miłość boską, jak można znaleźć podobieństwo w pacyfikacji wsi ukraińskich i w śmierci ponad 120 tys. Polaków! I dalej autor przedmowy: „Krwawą konfrontację determinował polski szowinizm i ukraiński nacjonalizm, które wywoływały po obu stronach postawy ekstremistyczne deprecjonujące ludzkie życie i przykrywające wszystko hasłami patriotycznymi. Na to nie może być usprawiedliwienia dla żadnej ze stron”. A więc znowu zbrodniami UPA obciąża się również AK i BCh. A polski szowinizm był równy ukraińskiemu nacjonalizmowi. Czy słyszał ktoś coś podobnego?! Czy jakiegokolwiek polskie oddziały, podobnie jak UPA, mordowały bezbronną ludność cywilną? I tu nagle odkrywamy metodę przedstawiania faktów. Oto najpierw mówi się o zbrodniczej działalności, czyli podaje się prawdę o UPA, a następnie

STAWIA SIĘ ZNAK RÓWNIANIA.

To samo czyniła strona polska! Przyznają mi czytelnicy, że to bardzo chytra metoda kompilacji! Zawsze w jednakowym stopniu obie strony są winne! To również polskie oddziały napadały na ukraińskie wioski, paliły i mordowały w przerażający sposób! A polscy chłopci uzbrojeni w kosy i widły im pomagali!

Autor książki twierdzi, że szeroką akcję „depolonizacyjną” spowodowały antyukraińskie działania oddziałów AK i BCh na Chełmszczyźnie i Hrubieszowszczyźnie. Musiały to być straszne działania, jeśli formą odwetu były rzezie.

W książce mówi się, że wspieranie ówczesnego rządu i AK sprzeciwiające-

go się oddaniu polskich ziem wschodnich przerodziło się w krwawy konflikt. Czy zatem prosty polski chłop był agitatorom politycznym, przez co zasłużył na śmierć?

W innym miejscu czytamy: „W pewnym momencie epicentrum tego konfliktu stała się Chełmszczyzna i Wołyń, gdzie od drugiego kwartału 1943 wzajemne zabójstwa nabrały masowego charakteru”. Co to znaczy? Sugeruje się niedwuznacznie, że na podobną skalę jak UPA na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, polskie oddziały urządzały rzezie ludności ukraińskiej na Chełmszczyźnie. A więc Chełmszczyzna to drugi Wołyń, tyle że tu Polacy byli również sprawcami rzezi. Znowu ta sama perfidna metoda przypisywania zbrodni także drugiej stronie!

Należy przyznać rację autorowi, gdy mówi, że działania OUN-UPA „były sprzeczne ze wszystkimi międzynarodowymi regulacjami prawnymi odnoszącymi się do form prowadzenia aktywności militarnej i w okresie powojennym działania takie, zgodnie z owymi regulacjami, były traktowane jako «zbrodnicze»”. (Nie rozumiem, dlaczego termin zbrodnicze autor ujmuje w cudzysłów). I znowu, na iwni, perfidnemu autorowi za wcześniej przyznaliśmy rację, pisze on bowiem dalej: „Takiemu samemu osądowi podlegają antyukraińskie akcje polskich formacji zbrojnych, które doprowadziły do ofiar wśród ukraińskiej ludności cywilnej”. Co to znaczy? Ano to, że podobnie jak uznano po wojnie działalność OUN-UPA za zbrodniczą, tak samo należy traktować działania polskich formacji zbrojnych. Zapytajmy w tym miejscu autora: czy jakiegokolwiek polskie formacje uznano po wojnie za zbrodnicze? Tak, zdarzały się niesubordynacje poszczególnych dowódców, polegające na dokonywaniu odwetów na ludności cywilnej. Takie przypadki były karane surowo, według prawa wo-



jennego. Natomiast w OUN-UPA wydano rozkaz zabijania Polaków, jego wykonywanie wręcz nagradzano, uznając to za WYPEŁNIANIE „PATRIOTYCZNEGO” OBOWIĄZKU!

Autor książki, jak i autor przedmowy mówią, że szanse na porozumienie były nikłe. Winą za to autorzy obciążają obie strony. A prawda jest porażająca! Do uzgodnionego uprzednio spotkania delegacji AK z dowództwem UPA doszło 7 i 8 lipca 1943 roku. Miejsce spotkania to Świniarzyna gmina Kupiczów i miejscowość Kustycze. W delegacji polskiej był poeta wołyński Zygmunt Rumel. Po rozmowach posłów polskich zamordowano, sposobem kozackim przez rozerwanie końmi. Oto jak kończyły się próby nawiązania kontaktu z UPA!

#### CZY TO RÓWNIEŻ WINA POLAKÓW?

W Koszalinie odbyła się jedna z pierwszych promocji omawianej książki. Niestety, nie znaleźmy jej treści, nikt nie przypuszczał, że będzie w niej tyle ordynarnych manipulacji. Większość uczestników spotkania stanowili Ukraińcy, którzy m.in. bardzo narzekali na przedwojenne polskie rządy, które gnębiły i poniżały ich nację. I to jakby pośrednio spowodowało pogrom Polaków. Czy za poczynania polskich rządów przedwojennych ponosił winę polski wołyński chłop, który był biedniejszy od Ukraińca?! Nie tylko rządy polskie ich nację poniżały. Robił to także ideolog ukraińskiego nacjonalizmu, Dmytro Doncow, który za lepszych ludzi uważał tylko członków Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Natomiast pozostałą część narodu ukraińskiego nazywał czernią, tłumem lub nieokielznanym bydłem.

Nie wiem, czy wszyscy Ukraińcy wiedzą o tym, iż z rąk UPA zginęło kilkadziesiąt tysięcy ich współbraci sprzeciwiają-

cych się OUN-UPA, pomagających lub ukrywających Polaków. Ukraiński profesor Wiktor Poliszczuk szacuje tę liczbę aż na 80 tys.!

Podczas koszalińskiej promocji książki Iljuszyna oburzano się w związku z akcją „Wisła”. Czy jednak ludobójstwo na Kresach można zestawiać z akcją „Wisła”?! Natura tych zjawisk była przecież całkowicie różna. A przede wszystkim skutki!

W pewnej chwili młody działacz Związku Ukraińców w Polsce powiedział: „Ukraińcy nie mordowali pod Poznaniem?”. A jakie mieli prawo mordować na Kresach?

I to zdanie niech będzie puentą tych refleksji. Budzi ono bowiem zatrzwożenie nie tylko w odniesieniu do przeszłości i teraźniejszości, ale także – co najsmutniejsze – do przyszłości.

Podczas pisania tego artykułu pojawiły się przed moimi oczyma makabryczne obrazy z okresu dzieciństwa na Wołyniu, który jest moją ziemią rodzinną. Jak dla wielu Ukraińców ziemią rodzinną jest Polska.

**Czesław Kuriata**

Autor artykułu urodził się na Wołyniu we wsi Marcelówka, gmina Ludwipól, powiat Kostopol. Jest poetą i prozaikiem, wydał dotąd 30 książek, m.in. autobiograficzną powieść „Galop do Wielkiego Lasu” (1965), która została wznowiona w 2005r. w jednym tomie z napisanym w ostatnich latach poematem „Wołanie Wołynia”.

Źródło: „Tygodnik Przegląd” nr 29 z 2009 roku // <https://www.tygodnikprzeglad.pl/ludobojstwo-zmanipulowane/>



**Kościół utracony - Втрачені костели**

# MEDUCHA. POD OPIEKĄ MATKI BOŻEJ RÓŻAŃCOWEJ



## Kościół pw. Matki Bożej Różańcowej w Medusze

Na historycznej ziemi halickiej sięgającej początków Rzeczypospolitej, 30 km od Stanisławowa wśród pagórków, łąk, pól i stawów, rzadziej lasów schowana jest Meducha, wieś pachnąca bzami i tytoniem uprawianym tu od wieków. Położona u stóp Łysej Góry, 348,7 m n.p.m. rzeczka Bebelka wpadająca pod Haliczem do Dniestra.

W okolicy Meduchy odkryto znaczne pokłady gipsu i kamienia ozdobnego alabastru białego, przezroczystego a czasami nawet z różowo-czerwonymi żyłkami.

### MEDUCHA

Pierwsze wzmianki o wiosce sięgają XV w. Dokumenty wspominają o konflikcie majątkowym arcybiskupa Jana Odrowąża z braćmi Stefanem i Zygmuntem z Meduchy, oraz ich macochą Heleną. Wówczas wieś podzielona była na kilku właścicieli. Michał ze Strzelisk sprzedał swoją część za 200 grzywien arcybiskupowi lwowskiemu Grzegorzowi z Sannoka. Jeszcze inną częścią wsi władał Mi-





Przy wejściu do świątyni dębowe olbrzymie drzwi. Nad drzwiami widnieje rok „1913” i napis „ORĘDOWNICZKO RÓŻAŃCA ŚWIĘTEGO MUDŁ SIĘ ZA NAMI” (pisownia oryginalna)

kołaj Karnkowski (Czarnkowski) miecznik halicki.

Z czasem całą wieś wykupili arcybiskupi lwowscy i władali nią do XX wieku. Historia okrutnie doświadczała Meduchę, leżąca na szlaku twierdz broniących Rzeczypospolitej. W dokumentach odnotowano spalenie wsi w 1620 r. przez Turków i Tatarów. Od 1885 r. wieś należała do rzymskokatolickiej parafii w Kąkolnikach. Utworzenie samodzielnej parafii planowano w latach dziewięćdziesiątych XVIII wieku. Plany te udało zrealizować dopiero w 1918 roku, kiedy utworzono samodzielną ekspozyturę, a w 1925 roku w ramach dekanatu kąkolnickiego samodzielną parafię z wsiami Międzyhorce, Siemikowce, i Koroniec. Wcześniej w roku 1870 poświęcono murowaną kaplicę, której darczyńcami była miejscowo-

wa szlachta zagrodowa. W latach 1912-1913 wybudowano obecny kościół. Świątynię ulokowano w południowej części wsi. Nieocenione było zaangażowanie parafian i pomoc późniejszego świętego arcybiskupa Józefa Bilczewskiego. Arcybiskup przeznaczył na budowę cegłę. Z rozebranej starej kaplicy wybudowano plebanię, stajnię i spichlerz.

Meducha wg GUS w 1931 roku liczyła 1756 mieszkańców, w tym 1252 to katolicy. We wsi były 354 zagrody. Przeważała ludność polska, Ukraińcy stanowili około 25%. Mieszkało tu około 40 Żydów, zabranych do getta na początku 1941 roku, gdzie zostali zamordowani.

Wśród kapłanów Meduchy byli m.in. **ks. Adolf Tarczyński (1883-1954)**, wikariusz w latach 1919-1922, **ks. Stanisław Cembruch (1878-1962)**, administrator w





**Na ścianach przed wejściem do prezbiterium po obu stronach widoczne są malowidła postaci świętych Piotra i Pawła**

latach 1926-1935. Ostatnim proboszczem był **ks. Piotr Zawora (1953-1971)**.

#### TAJNY POCIĄG

Fala mordów zbliżała się do Meduchy. Pod koniec 1943 r. proboszcz ks. Piotr Zawora, udał się do swojej rodzinnej parafii Wysoka w powiecie łańcuckim prosić o pomoc i możliwość przyjęcia Meudszan przez mieszkańców wioski. Proboszcz Stanisław Sabat po konsultacji z mieszkańcami i sołtysiem Wojciechem Wojnarem, chętnie zgodzili się otworzyć szeroko drzwi swoich domów dla gości. Problem nie był łatwy do rozwiązania, bo chodziło o blisko 1300 osób z dobytkiem. Exodus przyspieszył napad upowców na wioskę 13 lutego 1944 roku. Banderowcy zamordowali część ludzi paląc budynki i zabudowania. Trzeba było się spieszyć.

W Wysokiej w grupę przygotowującą tajny plan oprócz proboszcza Sabata włączyli się m. in. Władysław Skulski, Wojciech Wojnar i kolejarz pan Chojn. Wszystko to odbywało się bez wiedzy Niemców, a w Medusze Ukraińców.

W parafii ks. Zawory ludzie czekali spakowani, Wysoczanie, przeprowadzali niezbędne remonty, przygotowywano miejsca w domach oczekując gości. Kolejarze przygotowali pociąg z wagonami bydłecymi do którego Meduszanie zapa-

kowali dobytek. W pierwszych dniach kwietnia transport wjechał na stację w Łańcucie. Wysoczanie kto tylko miał furmankę ruszał na oddaloną o 5 km stację. Furmanki kursowały tak długo, aż ostatni wędrowcy dotarli do celu. Ksiądz Zaworę wraz z siostrą i jej dwoma córkami przyjęli pod swój dach Maria i Stanisław Michnów. Wielkie serce Wysoczanie i mieszkańcy okolicznych wiosek otwierali nie tylko na Meduszan. Domy mieszkańców były pełne ekspatriantów.

Wkrótce Ks. Piotr Zawora z częścią parafian przybył do Szczańca w powiecie świebodzińskim, gdzie był pierwszym proboszczem parafii po 45 roku. Osiadł na stałe w Szczecinku obejmując probostwo w kościele pod wezwaniem Św. Ducha. Tutaj też został pochowany. Ks. Piotr Zawora, dziekan prałat, radca Kurii Gorzowskiej zapisał się jako kapłan niezłomny, który w latach powojennych wg komunistów był zagrożeniem dla Polski Ludowej. ▶







**Widok wnętrza kościoła wraz z prezbiterium. Drewniane sklepienie prawie w całości jest odsłonięte**

### ŻYĆ ABY PRZETRWAĆ

Tylko dzięki ks. Piotrze Zaworze i działającej w wiosce samoobronie Meducha uniknęła całkowitego zniszczenia. Niestety bez ofiar się nie odbyło. Tylko pomiędzy lutym, a czerwcem 1944 banderowcy zamordowali 53 Polaków, w tym całe rodziny. W pobliżu stawu za wioską znaleziono czworo dzieci z sąsiedniej wsi w wieku 8-10 lat związanych razem kolczastym drutem i utopionych. Innym razem banderowcy zamordowali na drodze 3 Polaków, w tym 2 kobiety, oraz 2 żołnierzy sowieckich. Ukraińcy zajmowali się również donosem. Po takiej akcji NKWD zesłało w 1940 r. na Sybir kierownik miejscowej szkoły Michał Biliński.

Po wyjedzie Polaków kościół został zamknięty. Władze radzieckie urządziły tu magazyny. Wyposażenie kościoła Meduszanie wywieźli do Wysokiej. Wcze-

śniej ks. Zawora księgi metrykalne zdeponował w Haliczu.

### ŚWIĄTYNIA

Kościół zbudowany jest na planie prostokąta o trójprzęsłowej nawie, która tradycyjnie przechodzi łukiem tęczowym w węższe o połowę prezbiterium, do którego przylegają zakrystia i skarbiec. Nawa i prezbiterium proste bez artykulacji. Strop drewniany tynkowany ze sklepieniem pseudokolebkowym, w kształcie eliptycznym. Okna w prezbiterium kwadratowe. Okna w nawie po trzy po trzy z każdej strony prostokątne zakończone półkolistymi łukami. Chór wsparty jest na dwóch murowanych filarach z wkomponowanymi półkolistymi arkadami. Na chór prowadzą drewniane schody. Podłoga drewniana zbutwiała. Na sklepieniu pozostałości pięknych niegdyś malowideł z frag-



**Panorama Meduchy z kościołem zatopionym w gąszczu drzew**

mentami aniołów. Przed wejściem do prezbiterium po obu stronach wyraźne malowidła postaci świętych Piotra i Pawła. Kościół jest niezabezpieczony, przez dziurawy dach podczas deszczu wlewają się strumienie wody. Przy wejściu do świątyni dębowe olbrzymie drzwi. Nad drzwiami widnieje rok „1913” i napis „*ORĘDOWNICZKO RÓŻAŃCA ŚWIĘTEGO MUDL SIĘ ZA NAMP*” (pisownia oryginalna).

Dzisiaj zrujnowany kościół jest w opłakanym stanie. Pozostałości malowideł, posadzek mówią o jego dawnej świetności. Jedynymi strażnikami świątyni są bociany, które uwiły sobie gniazdo na zniszczonej wieży, skąd spoglądają na pagórki i łąny zbóż okolicznej ziemi.

**Ryszard Frączek**  
kontakt@naszekresy.pl  
Fot. Autora

**Ryszard Frączek** – wydawca, pisarz, dziennikarz, redaktor. Urodzony 12 stycznia 1960 r. w Głubczycach. Żonaty, czworo dzieci. Ukończył teologię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, filia w Opolu. Wolontariusz pracy charytatywnej m.in. w Kalkucie u Matki Teresy. Autor artykułów, książek m.in. powieści biograficznej „*Przerwany Bieg. Opowieść o księdzu Stefanie Pieczce*”, „*Zapomniany Bóg*”. Współautor książki pt. „*Moja Pierwsza Biblia*” – Bellona Warszawa – Scriba Racibórz 1997. Związany z Kresami I Rzeczypospolitej, po których dużo podróżuje. Przygotowuje wielotomową Encyklopedię „*Epopeja Kresów*”.



To już historia - Це вже історія

## POTEŻNY WARSZTAT PRACY

Janowa Dolina. Któż w ostatnich czasach nie słyszał tej nazwy, nie słyszał odczytów o Janowej Dolinie w radio, lub nie czytał o tych potężnych państwowych kamieniołomach bazaltu na Wołyniu. Janowa Dolina leży w powiecie kostopolskim, w tym powiecie, który tworzy przeskok ziemi wołyńskiej w Polesie. Jest to ciekawy zakątek ziem wschodnich, obfitujących w bogactwa naturalne, wymarzony cel wycieczek turystycznych.

Tu leży stary kamieniołom bazaltu „Berestowiec”, tu leżą: Moczulanka – kamieniołom granitu; Dermanka – pokłady kaolinu, które obecnie się eksploatuje. Nad Horyniem leży stare miasteczko Stepan z ruinami zamku Batorego, starą wieżą zegarową i ciekawym grobowcem hrabiów Worcellów, nad malowniczą doliną Słuczy wznoszą się mury zamku w Hubkowie, w okolicy Ludwipola ciągną się tajemnicze, pełne uroku pola azalii pontyjskiej („draposztanu”), w Korczyniu nad samym Horyniem w okolicy Janowej Doliny znajduje się jedno z nielicznych w Europie bobrowisko (żeremie bobrowe) dalej zaś za Stepaniem leży Huta Stepańska – uzdrowisko dla reumatyków. I to jeszcze nie koniec z powiatem kostopolskim! W Mokwini pracuje żwawo wśród poleskiej głuszy papiernia, dając zarobek tamtejszej biedocie.

W Kostopolu czynny jest jeden z największych tartaków państwowych, wybudowany przed dwoma laty kosztem dwóch milionów złotych.

Ale przoduje powiatowi Janowa Dolina.

Jeszcze w roku 1927 stał tu tylko ten cichy, niemy wołyński las, rodziły się grzyby i jagody, pomiędzy pniami



Kopalnia bazaltu w Janowej Dolinie.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

drzew uganiały zwinne sarenki i nic więcej. Dziś? Kipi tu rozgwar życia i pracy, szum i zgiełk. Ręce ludzkie wgrzają się w głębię ziemi i wydzierają je j pięciokątne słupy bazaltu, doskonałego materiału do budowy dróg, by ten bazalt w postaci: kostek, płyt, półbruczka, bruku, tłucznia, grysu i miału wywozły potem pociągi z ciszy lasów w kraj na budowę nowych, gładkich ulic i gościńców. Około 3 tysięcy ludzi ma tutaj chleb. Kopalnia z nowymi budkami – warsztatami, które kierownictwo pobudowało dla robotników, obrabiających półbruczki, wygląda jak potężny, rojny ul. Nad jamą kopalni rozcią-



ga się potężny plac składowy z prawdziwą pajęczyną pomostów (tzw. „estakad”), po których suną wózki żelazne z materiałem. Te wózki z kopalni wyciąga wyciąg linowy siłą, pochodzącą z własnej elektrowni. Potężny łamacz, gmach podobny do wielkiego młyna, przerabia odpadki i „bloki” kamienia na tłucznie, grysy i miąły. W dzień i w noc pracują wielkie, najnowocześniejsze urządzone warsztaty mechaniczne, gdzie się ostrzy i naprawia narzędzia górnicze, a raczej kamieniarskie.

Kierownictwo i mieszkania urzędnicze mieszczą się w pięknych domach drewnianych. Nad kopalnią stoi tymczasowa kaplica nowoutworzonej parafii janowodolińskiej. „*Na Anioł Pański*” modli się echem dalekim ponad ciszę leśną sygnaturka kaplicy w rześkie poranki, ciche południa i zamyślane wieczory.

A tuż za cienką ścianą lasu ciągną się piękne trzy uliczki Osiedla Robotniczego. Schludne domki stoją cicho, wygrzewając się w słońcu, przestrzenne okna oddychają szeroko sosnowym lasem. Tu mieszkają zdrowo robotnicy ze swymi rodzinami. Dla kawalerów, dla samotnych są pokoiki w Domu Zbiorowym, gdzie mieści się jedna z najpiękniejszych sal teatralnych Polski prowincjonalnej, sala kina dźwiękowego. Tu przyjeżdża często Teatr Wołyński na występy, tu co tygodnia wyświetla filmy kino dźwiękowe.

Na środku mają swoje pomieszczenie Ubezpieczalnia Społeczna (na miejscu chorych przyjmuje dwóch lekarzy), przedszkole oraz świetlice: jedna z piękniejszych urządzonych w Polsce świetlica Związku Strzeleckiego, świetlice: rezerwistów, Związku Pracy Obyw.[atelskiej] Kobiet itd.

Za Osiedlem wznosi się gmach nowocześnie urządzonej szkoły powszechnej, gdzie pobiera naukę 200 dzieci robotników.

Ostatnio założono w Janowej Dolinie wodociągi.

Żywe życie organizacji społecznych wyrabia robotników Janowej Doliny na dzielnych ludzi. Sport i wychowanie fizyczne rozwija się na większą skalę. Związek Strzelecki ma swoje szybowisko we wsi Biczal, przoduje na Wołyniu w piłce nożnej i boksie (ostatnio zwycięstwo nad Łotwą i remis z Węgrami), w marszu i w narciarstwie. Z zamiłowaniem uprawia się żeglarstwo na falach Horynia, nad którego brzegiem leży piękna plaża Janowej Doliny wraz ze schroniskiem turystycznym.

Własny organ prasowy Janowej Doliny „Głos Robotnika” jest łącznikiem duchowym wszystkich pracowników.

Latem ciągną do Janowej Doliny tysiące turystów i wycieczek szkolnych, by podziwiać rozmach pracy tej placówki kresowej. Janowa Dolina jest strażnicą wołyńską, która nie tylko pracuje ciężko, walczy o byt, o kawałek chleba, ale czuwa do tego jeszcze w dzień i noc. Czuwa jak żołnierze KOP. nad bezpieczeństwem Polski i polskości! Na tej strażnicy mogłaby się powstrzymać niejedna fala wraza.

Janowa Dolina rośnie w oczach. Za lat parę wśród lasów stać będzie miasto. A za lat kilkadziesiąt tak samo, jak dzisiaj walić będą bazaltowe słupy i wgryzać w skały. Dróg przecież tyle nam trzeba, a bazaltu w Janowej Dolinie starczy śmiało jeszcze na jeden wiek eksploatacji.

**Jacek Maria Orlik**

*Kostopol*

Źródło: „Żołnierz Polski” 1938, nr 25, s. 602-603.





## Poezja - Поезія

Jacek Maria ORLIK  
JANOWA DOLINA

Słońce rozpala lipcem skały w pożar.  
Duszno w kopalni i słabo.  
Na warsztatach nasz pot.  
...Kostki... półbruczek... tłuczeń...  
Trza trzymać ósmą godzinę w spotniałych rękach dziesięciokilowy młot!  
Trza myśleć o jutrze!  
Nasze dni rozpięte pomiędzy słupy i koleby...  
Naszych rąk trud jutro wywiozą przez ciszę  
lasu w świat pociągi –  
na budowę dróg!

- - -

Nie ma czasu odpocząć!  
Czas szybko uchodzi!  
Ile nieraz męki... jeden wie Bóg!  
...Tak przykro żyć w zgrzycie udręczonych  
męką życia godzin  
... a tak przecież co dzień!

- - -

Za lasami przykucnęły nasze kurne chaty do pól,  
w zboża, w hreczkę, w koniczynę, w łąki...  
W tych chatach anemiczne żony,  
chore dzieci  
i ból...  
...A tu w dole w kopalni  
sterczą kamiennym lasem słupy bazaltu,  
czekając na nasze ręce –  
a tu w dole w kopalni, jak lata temu stuk  
młotków, jak lata temu, zgrzyt wózków...  
Jutro tak samo życie w męce,  
tak samo dni w mozołach!  
Ale... za nasz pot,  
za naszą krwawiznę dni –  
– o bezkresnych szlakach gładkich dróg,  
o nowych brukowanych ulicach,  
o błękitnych wstęgach autostrad,  
Rzeczpospolita śni...

„Życie Katolickie” 1938, nr 32, s. 501.

Tekst wiersza towarzyszył artykułowi „Janowa Dolina” autorstwa J.K.